

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 12 (30)

Jerozolima, 16 czerwca 1944 r.

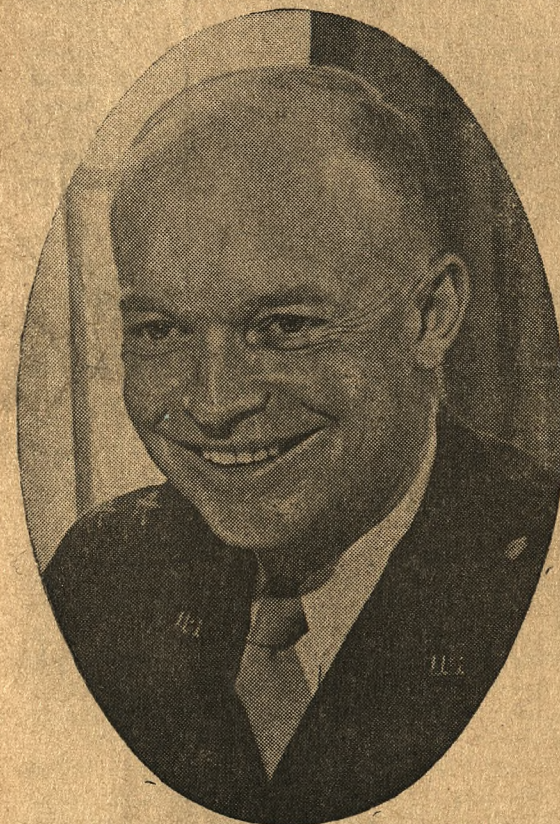
Rok II

MARIAN GÓRECKI

I N W A Z J A

S.H.A.E.F.

A więc w nocy z 5-go na 6-ty czerwca zaczęło się. Powyższe pięć liter oznacza oficjalny skrót nazwy dowództwa, które sprawuje gen. Eisenhower: Supreme Headquarters of the Allied Expeditionary Force. Sztab tego dowództwa jest zorganizowany według wzorów amerykańskich. Posiada on 12 oddziałów: operacyjny, kwatermistrzowski (zaopatrzenie), wywiadowczy (kierownictwo tajnego wywiadu), personalny (zarazem służba wczasów żołnierskich), inżynierski, cywilnej administracji, generalną adiutanturę (organizacyjny), oddział psychologicznego kierownictwa.



GEN. DWIGHT EISENHOWER

wa wojną, informacyjno-propagandową, sanitarną, łączności i służbę kwater główną. Każdy z wyższych oficerów sztabu rozporządza samolotem, który może przewieźć zarazem jego osobistego jeep'a i w ten sposób zezwala szybko dotrzeć w pożądane miejsce. W porównaniu z tym sztabem te, którymi rozporządzał Foch, a tym bardziej Napoleon, były jakby zarządca małej fabryczki wobec naukowo zorganizowanej dyrekcji olbrzymiej wytwórni wojennego zwycięstwa.

Ustalenie terminu zależne było od stanu pogody, która, jak wiadomo, nad Kanałem jest bardzo kapryśna. Sygnał musiał być odczytany o 24 godzin i wskutek tego dzień 5-go czerwca musiał ustąpić 6-mu zaszczytu stania się uroczystym pierwszym dniem inwazji. Wszystkie prace sztabu oraz przygotowania w oddziałach były już zakończone. 5-go czerwca gen. Eisenhower obleciał więc samolotem bazy lotnicze, na których oczekiwała piechota powietrzna. Prowadził beztroskie rozmowy z żołnierzami i z dziennikarzami. Wieczorem w przyczepkach samochodowych udał się ze ściśniętym sztabem na wybrzeże. Tam nacisnął guzik, który wprowadził w ruch podległe jego rozkazom siły lądowe, morskie i powietrzne, mające wyzwolić Europę. Wszystko odbyło się w pełnej tajemnicy.

Dnia 6-go czerwca rano na ulicach Londynu, miasta leżącego tak blisko podstaw wyjściowych inwazji, ruch był codzienny. Ludzie normalnie śpieszyli do swych zajęć. Nikt się nie domyślał, że to poranek wzmożonej pracy wojennej i ciężkich bojów u brzegów Francji. Roosevelt w tym czasie opracowywał swą wzniosłą modlitwę o zwycięstwo, zaś Churchill tej nocy spierał się z generałami, chcąc wsiąść osobiście na jeden z pierwszych okrętów, zmierzających do brzegu kontynentu, tak pilno było starymu lwu odebrać i zwrócić Francuzom Nikę Samotracką, wywiezioną z Louvre'u przez Goeringa.

Wiemy dziś, że rozpoczęcie inwazji nastąpiło według terminu, ustalonego w Teheranie. Wstępem do inwazji było stworzenie baz amerykańskich w rosyjskim terenie

przyfrontowym. Wiemy już także, że Niemcy zostali wprowadzeni w błąd i że 6-ty czerwca był dla nich zaskoczeniem. W tych warunkach nic dziwnego, że i dla Londyńczyka i dla nas w Jerozolimie początek inwazji był niespodzianką.

Tempo inwazji

Nic dziwnego natomiast, że skoro się już raz to zaczęło, to każdego obchodzi, kiedy wreszcie będzie koniec. Czy jest jednak w szerokim świecie ktokolwiek, kto mógłby dać odpowiedź? Trzeba by w tym celu znać dokładnie nie tylko siły, ale i plany wszystkich stron. Trzeba by być jednocześnie powiernikiem Churchilla i Hitlera, Roosevelta i Stalina. Możemy się opierać tylko na dwóch rzeczach. Na historycznych przykładach oraz na oświadczeniach i opublikowanych rozkazach.

Najbardziej piorunującej inwazji dokonał Niemcy przeciw Francji w r. 1940. Również cztery lata przed rozpoczęciem działań przez S.H.A.E.F. stali Niemcy 6-go czerwca 1940 r. nad dolną Sommę'ą oraz koło Amiens i Peronne. Już 13 czerwca są oni w Beaumont (30 klm. od Paryża), zaś 14 czerwca wkraczają do stolicy. W trzy dni później w Bordeaux formuje się rząd Pétaina, zaś 21 czerwca w Compiègne tarzają się marszałkowskie delegacje w wagonie salowym przed pełnomocnikiem Hitlera, gen. Keitelem.

Drugi przykład to inwazja Sycylii. Jest ona tym bardziej pouczająca, że kierowana była przez zespół, stojący na czele S.H.A.E.F.: Eisenhower, Tedder, Montgomery. Pamiętamy jej przebieg. Działania były imponujące. Systematyczność, konsekwencja i planowość były ich cechą. Szybkość słusznie pozostawiono na drugim miejscu.

Trzeci zaś przykład, to przyczółek Anzio. Poucza on, że stamtąd, gdzie się już raz wdarły wojska sojusznicze, nie zdołają ich Kesselringi usunąć żadną przemocą.

Tyle przykłady. A teraz oświadczenia. Zostawimy na boku mężów stanu. Posłuchajmy tylko, co mówią generałowie. Eisenhower uprzedza swych żołnierzy: „czekają was wielkie bitwy”. Nabrał on doświadczenie na Sycylii, teraz je w pełni wykorzystuje, ale nie jest ryzykantem. Działać będzie śmiało i twardo, ale systematycznie, bez pośpiechu, „intuicją”, która w r. 1940 dała olśniewające rezultaty, niemożliwe przez teorię wojskową do przewidzenia, ale później, krok za krokiem, prowadziła do tego, że dzisiaj Hitler znajduje się w położeniu Napoleona z ostatnich dni jego „Stu dni”. Te historyczne sto dni jednak, jak wiemy, mogły się przeciągnąć dłużej. Jeszcze w wigilię bitwy, która zdecydowała o jego upadku, Napoleon pokbił Bluechera i zmusił go do odwrotu. Wówczas armia Wellingtona również musiała przyjąć ostrożną postawę i nawet liczyć się z koniecznością chwilowego odwrotu. Teoretycznie nie nie zapowiadało, żeby nazajutrz Prusacy mogli być zdolni do zwrotu zaczepnego. Obliczenia jednak zostały przekreślone przez namietność starego Bluechera i energię jego szefa sztabu, Gneisenau'a.

Taką rolę nieobliczalnego czynnika, który może przyspieszyć klęskę niemiecką, obecnie kryje w sobie maquis francuskie. Namietność i żądza odwetu są w podziemnej Francji powszechne. S.H.A.E.F. posiada dość broni wszelkiego rodzaju i pełną możność dostarczenia jej spadochroniarzom w dowolne miejsce. Tak jak w listopadzie r. 1918 w Warszawie zryw ludności wypędził Niemców, wyprzedzając powolne wersalskie decyzje, tak zresztą jak jesienią r. 1943 na Korsyce powstańcy wyprzedzili plany wojskowe, tak samo we Francji lawina gniewu ludu może zdruzgotać najeżdżące prędzej niż to kalkulują plany.

Obok tego czynnika nieoczekiwane szybkie rezultaty może dać bezwzględna przewaga lotnicza, jaką — według tego, co wiemy, — sojusznicy rozporządzają.

Tryfienie

Ludzie w tej wojnie oswoili się z nazwą amfibii. Są to organizmy ziemnowodne. Przenośność ta nazwa zastosowana została do działań desantów morskich. W rzeczywistości siła zbrojna współczesna, jak słusznie zauważył

ktos, posiada zdolność działania w trzech żywiołach i dlatego wprowadzono trafny termin tryfienie dla oznaczenia wojska, które równie dobrze może dać sobie radę na morzu, na lądzie, jak i w powietrzu. Z opisów sycylijskich znamy ten sposób działania. Obecnie został on wzbogacony w większą obfitość środków, do których przybyło wiele nowych.

Z barwnej korespondencji Desmond Tighe'a, noszącego tytuł sprawozdawcy całej prasy światowej, dowiadujemy się wielu ciekawych rzeczy. Dn. 6-go czerwca wyruszyło do boju 600 okrętów wojennych. Jeśli tę liczbę porównać z ilością okrętów, uczestniczących w największych bitwach morskich, to nie pozostaje nic innego, jak złapać się za głowę. Jednocześnie ruszyło 4.000 dużych transportowców, nie licząc niezliczonych łodzi motorowych. Zaś ponad nimi w powietrzu znajdowało się wiele tysięcy samolotów, z których okrągło tysiąc miało zadanie transportu piechoty powietrznej. Na fotografiach z Sycylii widzieliśmy czołgi amfibie, jadące przez wodę. Teraz dziesiątki tysięcy czołgów otrzymało uszczelnienie, zezwalające im poruszać się pod wodą, dzięki czemu dalej od brzegu mogą opuszczać transportowce.

Jozue kiedyś zatrzymał słońce, by móc dalej prowadzić bitwę, zaś w dniu 6-go czerwca pierwsza fala jednostek morskich, która podpłynęła do brzegów Normandii, w ciągu kilku minut roztoczyła fale dymne, aby przedłużyć noc, skrywającą ruch wyładowczy. Dziesiątki tysięcy armat przysięgły Niemców, broniących wybrzeża, i liczne pociski świetlne, pomimo zasłony dymnej, w miejscach dla Niemców przykrych na nowo nieciły jasność. O godzinie 5.50 Niemcy z baterii nadbrzeżnych otworzyli spazmatyczny mały celny ogień. Przedni skraj sławetnego wału atlantyckiego rozpoczynał trząść. Niemcy już teraz mówią, że nigdy na jego wytrzymałość nie liczyli i że się ich stanowi ugrupowanie organizacji obronnych w głębi Francji.

Podczas gdy na wybrzeżu walczyli pierwsi piechurzy, wsparci pierwszymi czołgami, na tyłach niemieckich lądowały dziesiątki tysięcy piechoty powietrznej, złożonej z wyborowego żołnierza, wiedzącego, że nie ma dlań odwrotu. Obok żywych piechurów w niektórych miejscach, np. na wschód od ujścia rzeki Orne, spadały na ziemię na spadochronach nadwyreżonych w czasie ćwiczeń szkolnych, tysiące manekinów. Niemcy przeciw tym udanym desantom musieli gromadzić swe środki, przeciwdziałania tak jak przeciw prawdziwym. Po przekonaniu się zaś o podstępie, tracili czujność. Największe dotąd wykonywane desanty są niczym wobec rozmiarów z dnia 6-go czerwca.

Wydało się, że najbliższym celem działań jest opanowanie Normandii wraz z Cherbourgiem, aby zyskać przez to podstawę dla dalszych lądowań armii inwazyjnej. Mówi się, że pierwszego poranku weszło w akcję 100.000. Obecnie jest już chyba na europejskim brzegu pół miliona. Wszystkie te liczby nie przesądzą jednak, czy wykonane działanie jest w rzeczywistości głównym. Niemcy wobec tego, że zaangażowane siły sojusznicze stanowią ciągle tylko część niewielką zasobów, zgromadzonych w Wielkiej Brytanii, muszą pozostawać w niepewności.

Trzeba sobie zdawać sprawę z potęgi środków transportowych, jakimi rozporządza sojusznicy. Sama flota brytyjska posiada obecnie 400 tysięcy oficerów i marynarzy, t. zn. trzy razy tyle co przed wojną. Żołęgi lotnicze wraz z obsługą portów stanowią następne setki tysięcy. Chociaż więc Niemcy w swej forticy pozornie posiadają przywilej działania po liniach wewnętrznych, to jednak wobec bombardowania lotniczego ich linii komunikacyjnych i wobec tryfijnego organizmu sił zbrojnych sojuszniczych naprawdę większą łatwość przerzucania swych sił w dowolne miejsca posiadają wojska inwazyjne.

Alarm dla ludności

Wczesnym rankiem BBC ogłosiło alarm dla całej ludności zachodnich wybrzeży Europy i zapowiedziało dla niej ważne komunikaty. Przed południem tegoż dnia została nadana proklamacja gen. Eisenhowera do ludności, posiadająca charakter ojcowskiego pou-

W numerze:

K. Grzybowski: Kryzys prawa narodów. Spojrzenie w przyszłość. — G. Rey: Generałowie niemieckiego rewanzu. — I. Thomas: Mussolini zdobywa władzę. — Aktualia włoskie. — S. Natanson: Na pozycji pod Monte Cassino. — K. Kleszczyński: Dzieje jednej szarży ułańskiej. — W. Choma: Karpacie Gimnazjum we Włoszech. — Z. Broncel: Od Września do Monte Cassino. — J. Bazarewski: Evviva la guerra. — P. Apenszlak: Czarna literatura. — S. H. Dominik: Opinie angielskie. — ww.: Przegląd polityczny. — Cosas da España.

czenia. Czytamy w niej: „Godzina wyzwolenia bliska. Czekajcie aż dam wam sygnał, abyście powstał i uderzyli”. A dalej: „Powstańcie przedwcześnie wszystkich Francuzów mogłoby przeszkodzić, aby dali oni maximum pomocy dla swego kraju w godzinie krytycznej. Ten desant jest tylko fazą początkową kampanii w Europie zachodniej. Wielkie bitwy jeszcze nadejdą. — ...Niech nie zachwieje waszej wiary... Trwajcie dalej w biernym oporze, lecz nie ryzykujcie życia bez konieczności !!!”.

W tym dniu król norweski, Haakon, do swego narodu mówił: „Odtąd róbcie wszystko,



GEN. BERNARD MONTGOMERY

co jest w waszej mocy, aby kępować nieprzyjaciela, lecz nie ekspozujcie się”. Mówi też premier holenderski: „Nie wykonujcie żadnego aktu gwałtu albo otwartego oporu. Zbyt wielu niewinnych byłoby ofiarami represji niemieckich. Tam, gdzie to jest możliwe, wykonujcie opór bierny”.

Z instrukcji gen. Eisenhowera przebiega siła, zaufanie do własnej mocy, przeświadczenie, że błąd się powinni przede wszystkim żołnierze jemu podlegli, lojalność wobec ludności cywilnej, troska o powstrzymanie nierozumnego przelewu najgorętszej krwi, która właśnie stanowi największy skarb każdego narodu. Nie trzeba podkreślać różnicy między instrukcjami gen. Eisenhowera a różnymi innymi apelami, skierowanymi do dręczonego hitlerowskim uciskiem narodu. Celem powstania nie jest przelew krwi, bezowocny, lecz ostateczne zwycięstwo.

Wprawdzie z drugiej strony do bierności nawołują Francuzów Pétain i Laval. Nie można takiej bierności uważać za chęć obrony krwi francuskiej. Tu decyduje strach przed Niemcami. Sam naród francuski zdecydowanie swym powstaniem i trzeba podnieść z uznaniem, że gen. Eisenhower uważa się za niepowołanego do szafowania krwią Francuzów.

Hitler nie może dojrzeć, z której strony otrzyma cios ostateczny. Jak zbrodniczy król, gdy był, podczas odgrywania przez Hamleta „Pulapki ma myszy”, w obawie przed groźącą mu w mroku pomstą, tak Hitler woła dziś z pewnością: „Give me some light. Away!” Ale ani nikt ze współwinowajców nie potrafi, ani nikt inny nie zechce podać mu światła, ani też z drugiej strony nie ma mowy o hamletyzowaniu przez S.H.A.E.F.

Żołnierze zjednoczonych narodów przystępują więc do śmiertelnej kośby, a że będzie ona i dla nich krwawa, więc każdemu z nas, który nie jest u ich boku, jest jakoś nijako pisać w takiej chwili zbyt gromko.

Wzmocnijmy natomiast nasze wysiłki nad mobilizacją pokoju, aby zdemobilizowani — często okaleczeni inwalidzi — żołnierze po powrocie do domu znaleźli nie demagogię, lecz naprawdę lepszą, radośniejsze życie.

Nie spodziewajmy się zbyt łatwo rozstrzygnięcia całości zamierzeń S.H.A.E.F., bo na pewno przygotowane dość fortelów, i strategię zwycięstwa poznamy w tym wypadku dopiero po zwycięstwie.

KAZIMIERZ GRZYBOWSKI

KRZYŻYS PRAWA NARODÓW¹⁾

I

Dotychczas operowaliśmy dla oceny niedawnej przeszłości danymi, które potwierdziła dzisiejsza sytuacja polityczna. Ostatecznie, z perspektywy dnia dzisiejszego pesymiści mieli rację. Powstaje zagadnienie, czy przeżywany obecnie okres destrukcji i upadku zmysłu społecznego na każdym szczeblu współzycia ludzi ma się ku końcowi. Na to odpowiedzi ściślej nikt dać nie może. Niemniej jednak, nawet jeżeli nie będziemy bawić się w prorocztwa, jeżeli przyjmiemy, że po tej wojnie państwa zechcą współpracować ze sobą, już z perspektywy chwili obecnej widać elementy, przy których pomocy można tworzyć przyszłość pokoju i pracy. Wskazanie tych elementów i środków stworzenia nowego świata nie będzie prorokowaniem. Przypuszczać można, że klęska Niemiec i Japonii oraz okropności wojny, przeżyte przez wszystkie narody świata, stworzą podstawy dla współpracy. Wydaje mi się, że niewiara w przyszłość nie ma podstaw.

Postępowi ludzkości towarzyszy jeden rys charakterystyczny. Od klęski do klęski, od katastrofy do katastrofy, jakimi są wielkie wojny powszechne, posuwały się myśl i walka o wolność człowieka jako jednostki, jako członka swego narodu. Mimo klęsk, chwilowych cofnięć, mimo nieraz potwornych ofiar, które też i dzisiaj ponoszą narody w Europie, sprawa wolności zyskiwała nowe zdobycze. Jeżelibyśmy chcieli uważać chwilę dzisiejszą za charakterystyczną dla okresu, który idzie, moglibyśmy popełnić ten błąd, że panowanie reakcji i zacofania wzięlibyśmy za wyraz epoki, która zamknie się może za lat paręset.

Zresztą nawet moment dzisiejszy dostarcza dowodów, że jakkolwiek prawo przestało lub prawie że przestało obowiązywać, to jednak narody rozumieją podstawowe interesy ludzkości i świata. Bo oto w obliczu niebezpieczeństwa, które zagroziło kulturze ludzkiej, nastąpiła mobilizacja sił w jej obronie.

Mobilizacji dokonywano z trudem, nie tylko dlatego, że obóz demokracji był militarnie gorzej przygotowany, ale dlatego, że zapomniał w nim marazm ideowy. Były złudzenia w stosunku do Niemiec. Tu tkwi zaśluga Polski w dniach wrześnieńskich. Ofiara, wówczas poniesiona, była początkiem otrąsania się z marazmu. Rozbudziło się poczucie wspólnoty ludzkości i zrozumienie prawdy o integralności pokoju. Dzisiaj siły demokracji, walczące o sprawiedliwy pokój w oparciu o kulturę, wyrosła na gruncie Zachodniej Europy, są większe niż kiedykolwiek. Gdy wojna się skończy, wzrosną one jeszcze bardziej. Ten sam fakt może dostarczyć koniecznego rozpędu, by pokonać martwe punkty imperializmu niektórych państw, egoizmu gospodarczego i reakcji.

Niezależnie zresztą od tego, w jakim momencie historycznym znajdujemy się wobec nadchodzącego okresu, już dzisiaj możemy mówić o przyszłości. Jeżeli bowiem obserwowaliśmy okresy prądów umysłowych czy politycznych i wzajemne ich następstwo po sobie, kolejne epoki różnych form współzycia ludzkości, przekonał się, że każda miniona epoka daje wiele sił i czynników dla sformowania nowej. Religia była jednym z czynników zasadniczych w systemie państwa rzymskiego, jak też w systemie jednoci chrześcijaństwa. Tak samo i po rozbiu jednoci religijnej świata przeszliśmy od stojącej ponad społeczeństw normy religijnej do normy prawa naturalnego. Cel pozostaje zawsze ten sam. Czynniki działające na jego korzyść także ulegają niewielkim zmianom. Zmieniają się przeważnie formy.

Jasne jednak jest, że pewne zmiany muszą nastąpić, że nie możemy wrócić do tego stanu, który zakończył się wojnami światowymi. Powrót do systemu międzynarodowego XIX w. mógłby chyba doprowadzić do nowej wojny. Byłby on powtórzeniem jeszcze raz błędów, jaki popełniono po pierwszej wojnie światowej. Jedną z pierwszych potrzeb, odczuwanych w tej chwili w życiu międzynarodowym, która z pewnością nie zaniknie po ukończeniu działań wojennych, jest kontrola zamierzeń politycznych poszczególnych państw. Jak dowodzi szereg zagadnień politycznych obecnego momentu, nawet najślisznie państwa nie są w stanie jej uniknąć.

Niezależnie od wszelkich form współzycia państw w przyszłości, niezależnie od środków, które będą stosowane w stosunkach międzynarodowych, muszą być zrealizowane następujące postulaty dla samego współistnienia narodów: bezpieczeństwo przed agresją militarną; równomierna realizacja postulatów społecznych w tych wszystkich środowiskach, które mają wpływ na układanie się stosunków w świecie; współpraca gospodarcza. Muszą zniknąć niekorzyści, wynikające z nierównomiernego dostępu do surowców, i wypływające stąd zbyt jaskrawe różnice w potencjale przemysłowym poszczególnych społeczeństw. Gdy zrealizuje się postulaty polityczne i gospodarcze, będzie można osiągnąć ostatni, najważniejszy dla pokoju światowego wzrost za-
możności społecznej i indywidualnej.

II

Planując przyszłość, musimy wziąć pod uwagę żywe siły, jeśli chcemy, aby plany dały się wykonać. Nie można zatem pominąć czynnika nacjonalizmu. Zdrowe poczucie narodowe

Spojrzenie w przyszłość

będzie zawsze podstawą organizacji państw. Wydaje się np., że stosunki w Rosji Sowieckiej, jeżeli idzie o polityczne konsekwencje nacjonalizmu poszczególnych narodów Związku, mogą doznać jeszcze poważnych zmian.

Doświadczenia gospodarcze i polityczne z ostatniej doby nauczyły nas, że dla stworzenia jednostek państwowych, mogących wytrzymać konkurencję gospodarczą w obecnym świecie i reprezentować odpowiednie źródła surowców, pracy oraz rynków zbytu, konieczna jest gospodarka wielkich obszarów. One tylko dają wobec nowoczesnych metod wojowania jedynie skuteczne możliwości zorganizowania oporu. Państwa o słabym przemysle, o małej powierzchni, nie mają wobec rozwoju szybkości i nośności samolotów, wobec zasięgu czołgów szans przetrwania kryzysów wojennych.

Stoimy zatem wobec dwóch sprzeczności. Z jednej strony nacjonalizm jako siła organizacyjna wysuwa postulat niezależnych suwerennych państw, z drugiej konieczności gospodarcze i wojskowe stawiają tezę organizowania gospodarczego i politycznego wielkich obszarów. Trudność tę rozstrzygnie odpowiedź na pytanie, jaki typ—małe jednostki polityczne czy duże silne organizacje korzystniejsze są dla utrzymania pokoju. Historia agresji niemieckich z lat ostatnich rozwiązuje to zagadnienie. Niemcy atakowały poszczególne państwa, które nie potrafiły zorganizować oporu. Z tego punktu widzenia zniknięcie państw słabych, które są łatwym żupem dla silnego napastnika, byłoby dodatkową gwarancją pokoju.

Pogodzić te dwie tendencje i potrzeby można w systemie federacyjnym. Z jednej strony państwa słabsze zachowują wszystkie warunki niezależnego bytu narodowego, rozwijania własnej kultury i wzbogacania kultury ogólnej, a z drugiej strony mogą skutecznie parować groźbę wojny. Sfederowanie np. Zachodniej i Środkowej Europy, uniemożliwia podzielenie jej na t. zw. sfery wpływu, które pozostając pod przewagą wielkich mocarstw, mogą być terenem ścierania się imperializmów i mogą łatwo stać się polem bitwy. W ten sposób nacjonalizm, którego zniszczyć się nie da, może być tak samo, jak w okresie dotychczasowym, motorem współzycia narodów.

Jasne jest, że federacje to nie ostatnie słowo w organizacji ludzkości. Musi istnieć więź szersza. Amerykanie, którzy do wybuchu drugiej wojny światowej mieli z narodów o światowym znaczeniu bodaj że najmniej zmysłu związku swoich interesów politycznych z interesami innych części ludzkości, znaleźli się w dzisiejszej wojnie globalnej zaangażowani na większej ilości frontów, niż jakiegokolwiek inne państwo. Z jednej strony, udział Amerykanów w wojnie europejskiej jest tak poważny, że przewiduje się, iż ich siły lotnicze i lądowe będą przewyższały armię któregośkolwiek z aliantów, z drugiej strony zaś ich główny wysiłek wojenny został skierowany na Pacyfik. Tak samo jak wojna jest globalna, tak samo i pokój i współpraca narodów muszą być globalne. Jedynolity system bezpieczeństwa musi gwarantować pokój. Nie wydaje się prawdopodobne, by Stany Zjednoczone powtórzyły błąd Konferencji Wasyngtońskiej i stworzyły znów system bezpieczeństwa, izolowany od reszty świata. Stany Zjednoczone nie mogą powtórzyć błędów odziedziczenia ochrony swoich interesów życiowych od tych sił, które mogą działać przede wszystkim na ich korzyść, jako państwa zainteresowanego w pokoju. Przykład ten podany został dlatego, by uzmysłwić, jak konieczne jest znalezienie więzi, któraby ujęła całą ludzkość w ramy wspólnego organizmu.

W w. XIX taką więzią był międzynarodowy system gospodarczy. System ten miał tę niedogodność, że wzmagał tarcia społeczne wewnątrz poszczególnych państw, co z kolei miało wpływ na układanie się stosunków międzynarodowych. Dzisiaj powrót do tego systemu jest niemożliwy także i z tego względu.

Zasadnicza przyczyna tkwi jednak gdzie indziej. Tak samo, jak zmieniło się zapatrywanie na rolę złota po zamknięciu się okresu merkantylizmu, tak samo dziś pojęcie bogactwa jest odmienne od teorii liberalizmu gospodarczego XIX w. Z punktu widzenia bowiem tych teorii Stany Zjednoczone, które po pierwszej wojnie światowej były najwię-

szym bankierem świata, wierzyicielem prawie wszystkich narodów oraz właścicielem największej ilości złota, zgrupowanego w jednym miejscu, od czasu kiedy ludzkość istnieje, powinny były mieć te wszystkie korzyści, jakie to bogactwo im dać mogło. Tymczasem jedynym rezultatem tego nagromadzenia złota był ogromny kryzys, obniżenie stopy życiowej, największa ilość bezrobotnych, jaka kiedykolwiek istniała, i konieczność zastosowania drastycznych środków dla ratowania równowagi gospodarczej. Prawdopodobnie kierownicy Stanów Zjednoczonych zrzekliby się wielu ze swych nieściągalnych wierzytelności oraz sporej części swego złota, gdyby w zamian za to mogli zrównoważyć system gospodarczy Stanów. W okresie pomiędzy dwiema wojnami ilość złota w Stanach wzrastała. Niemniej jednak o dobrobycie i sile gospodarczej, a co za tym idzie i politycznej, decydowały zatrudnienie i konsumpcja wewnętrzna. Jednocześnie handel międzynarodowy odgrywał w życiu Stanów, podobnie jak i w życiu każdego narodu, decydującą rolę. Jakkolwiek na ogół większość produkcji każdego kraju (pominąwszy okresy dumpin-gów, organizowanych przez państwo dla celów czy to politycznych, czy też gospodarczych) konsumuje się na miejscu, to jednak właśnie handel międzynarodowy dyktuje ceny światowe i wpływa na stosunki gospodarcze, panujące wewnątrz poszczególnych organizmów gospodarczych. Te dwa elementy: spożycie wewnętrzne i handel międzynarodowy, trzeba zorganizować i wprowadzić w międzynarodowy system dla dobra społeczności międzynarodowej.

Wydaje się, że w najbliższej przyszłości bogactwem narodów będą nie bezwzględne czy porównawcze cyfry bilansów handlowych czy płatniczych, ale ilość towarów, rozproszonych w poszczególnych społeczeństwach, przypadająca na głowę, wysokość inwestycji produkcyjnych oraz ilość dóbr, użytkowanych od społeczeństw obcych w zamian za własne usługi czy towary, wyprodukowane u siebie. Powstaje w ten sposób nowe pojęcie bogactwa. Realizacja tego programu musi wypłynąć na podniesienie światowego poziomu produkcji. W wyniku życia ludzkie musi być z punktu widzenia dóbr ekonomicznych wszędzie tyle samo warte i wartości człowieka na kuli ziemskiej mniej więcej wyrównana.

Rozpoczęta w ten sposób szeroka wymiana gospodarcza w ciągu XIX w. zyskuje obecnie oparcie w momencie społecznym. Służby nowym celom. W skali międzynarodowej musi doprowadzić do zbliżenia się narodów na tle współpracy o podniesienie stopy życiowej w świecie. Nowy ten program może być podstawą równowagi międzynarodowej.

III

Warunki konieczne dla stworzenia szerokiej społeczności międzynarodowej znajdują się przede wszystkim w sferze gospodarki światowej. Dlatego też należy rozpatrzyć przede wszystkim te elementy. Innymi słowy musimy stwierdzić, czy technicznie świat dorósł do spełnienia tego zadania.

Jeżeli popatrzymy na zagadnienie z punktu widzenia światowych możliwości produkcyjnych, to wydaje się, że w tej chwili istnieje zasadnicza możliwość zrealizowania go w dużym procencie przy obecnym stanie uprzemysłowienia świata. Naturalnie, że realizacja tego programu będzie wymagała dalszych inwestycji i wzmagania tempa wytwórczości, ale stan przemysłu światowego jest dzisiaj tak wysoki, że jest od czego zacząć.

Zrealizowanie tego programu będzie wymagało jednak wciągnięcia do rzędu narodów produkcyjnych krajów, które nie tworzyły dotychczas przemysłu i które nie wykazywały pracy, znajdującej się na miejscu. Głównym czynnikiem jest tutaj kredyt międzynarodowy. Suma pożyczek, uzyskanych przez Niemców w okresie pomiędzy wojnami światowymi, dzisiejszy Lease and Lend, świadczą o tym, jak ogromne możliwości kredytowe przedstawia świat. Sama produkcja czołgów w chwili dzisiejszej i ilości ich, wysłane na różne fronty świata, wskazują, jak ogromną ilość precyzyjnych maszyn można wyprodukować także dla polepszenia bytu ludzkości.

Trzecim technicznym czynnikiem jest stan transportu międzynarodowego. Ilość ok-rętów, wybudowanych w toku tej wojny, rozwój transportu samochodowego i lotnictwa, oto wskazówki prawdziwego stanu rzeczy. Transport motorowy pozwoli dotrzeć wszędzie.

Jedną z istotnych sił, działających na korzyść stworzenia więzi gospodarczej, obejmującej w możliwie równych warunkach dla wszystkich narodów cały świat, jest tendencja do różnicowania przemysłowego. Własności techniczne, specyficzne zasoby oraz własności duchowe poszczególnych grup społecznych powodują, że w różnych punktach globu powstają coraz to nowe gałęzie produkcji i coraz to nowe potrzeby.

Różnicowanie kulturalne (prądy narodowe) w oparciu o wspólne zdobycze moralne i wspólne pochodzenie naszej kultury, organizacja małych narodów w wielkie obszary, posiadające możliwość budowania życia gospodarczego na szerszych podstawach; szanse wreszcie stawiania skutecznego oporu w oparciu o przemysł i przestrzeń, wspólna więź gospodarcza i nowe cele wymiany gospodarczej — oto czynniki, które mogą stworzyć nową społeczność międzynarodową.

IV

Względy polityczne i gospodarcze pozwalają przypuszczać, że narody powiążą się w federacje, które z kolei będą wchodziły w obręb większej społeczności międzynarodowej. Ta dwustopniowość organizacyjna musi znaleźć swoje odbicie także i w formach prawnych. Zmiany w czynnikach, wpływających na wiązanie się państw w społeczności wyższego rzędu, odbijają się przede wszystkim na treści przepisów.

Jeżeli przypatrzymy się postanowieniom praw krajowych i ewolucji stosunków politycznych w poszczególnych społeczeństwach, to przekonamy się, że zagadnienia gospodarcze i społeczne wysuwają się na czoło spraw, obchodzących państwo. Należy przypuszczać, że taki sam proces odbędzie się i na płaszczyźnie międzynarodowej. Płynię stąd następująca konsekwencja.

Obserwowaliśmy, jak z biegiem czasu, w miarę zmiany czynników, wpływających na organizację i działanie społeczności międzynarodowej, ulegały fluktuacji podstawowe pojęcia prawa narodów, a w szczególności pojęcie suwerenności państwowej. Po pokoju Westfalskim zbliżało się ono do pojęcia nieograniczonej, najwyższej władzy. W okresie tworzenia międzynarodowej wymiany gospodarczej oznaczało ono niezależność państw, ograniczoną wspólnym interesem międzynarodowym w równy sposób. Dzisiejsza ewolucja odpowiednio zmieniła pojęcie suwerenności państwowej. Państwo musi zastosować się do nowych warunków techniki życia międzynarodowego i konieczności utrzymania pokoju. Należy przypuszczać, że w nowej społeczności międzynarodowej zagadnienia gospodarcze i społeczne będą stanowiły przedmiot zainteresowania i stosunków międzynarodowych.

W rzeczywistości nas otaczającej o federacji w całym tego słowa znaczeniu można mówić jedynie w stosunku do Imperium Brytyjskiego. Jakkolwiek akty prawne, regulujące wzajemną zależność poszczególnych jego części, mają formę ustaw Parlamentu Angielskiego (z wyjątkiem traktatu z Irlandią), to jednak istotne decyzje, dotyczące Imperium Brytyjskiego jako całości, powstają na Konferencjach Imperialnych, na których reprezentacje poszczególnych dominii obradują w warunkach zupełnej równości. Zapewniają ją postanowienia Aktu Westminsterskiego, zachowując jednocześnie jedność Imperium. Treść stosunków wewnątrz Imperium przypomina stosunki międzynarodowe, pod względem formy natomiast przybierają one czasem postać norm prawa publicznego wewnętrznego. Należy przypuszczać, że w razie realizacji programu federacyjnego w skali międzynarodowej, wobec braku wspólnych tradycji państwowych w stosunku do większości organizmów Środkowej, Północnej czy Zachodniej Europy, charakter międzynarodowego związku państw będzie jeszcze mocniej zaznaczony. Będzie to tym konieczniejsze, że droga, na której realizuje się ten cel, będzie wprost odwrotna od tej, którą szły Dominia Brytyjskie. Zaczynały one od zupełnej zawisłości, a kończyły na samodzielności państwowej.

W jeszcze wyższym stopniu charakter prawa narodów będą posiadały postanowienia, regulujące stosunki między poszczególnymi federacjami i wielkimi narodami świata. Osiągnięcie tych celów nie da się pomyśleć jednak bez stworzenia organizacji międzynarodowej dla zabezpieczenia pokoju. Zadaniem jej będzie popieranie współpracy międzynarodowej w zakresie zagadnień społecznych i gospodarczych oraz zorganizowanie sądownictwa międzynarodowego, obdarzonego przymusową kompetencją. Obowiązywać musi skuteczny zakaz uciekania się do siły. Organizacja ta będzie musiała dysponować konkretnymi środkami wojskowymi, politycznymi i gospodarczymi dla zapewnienia szacunku i posłuchu swoim decyzjom.

^{*)} Por. nr. 10 (28) Istota kryzysu i nr. 11 (29) Przyczyny rozkładu.



NOWY MODEL **AMERYKA**

Nadeszły aparaty radiowe:
7-mio lampowe na akumulator 6 volt
oraz na prąd 115 i 235 volt
Przedstawicielstwo:

BRACIA SWISŁOCY, TEL-AVIV, Allenby 35

W NAJBLIŻSZYM CZASIE
ukaza się dwa numery specjalne „W Drodze”, poświęcone

LIBANOWI I PALESTYNIE

GUSTAW REY

Generałowie niemieckiego rewanżu

Już tak się dzieje, że w okresie epidemii wzrasta zainteresowanie medycyną, a w czasie wojny generałami. Zawodowi wojownicy stają się naszymi bohaterami, a w wojnach przeszłości szukamy natchnienia do nowych bojów, ukojenia codziennych strat. Nie tylko bystry obiektyw (i bussines) filmowy uchwyciły nowe upodobania, produkując masowo obrazy tematyki wojennej.

Również witryna księgarni zmienia oblicze. Wystawy książek angielskich wyglądają dziś groźnie, przypominają zakłady fotograficzne o klienteli wojskowej. Z każdego kąta wyziera mundur, a przegląd tytułów wywołuje asocjacje z reportażami Ewy Curie — „Wędrowni wśród wojowników”. Rewia książek ostatniego okresu przekształca się w defiladę międzynarodowego legionu samych wodzów: „Napoleon” (Kircheisen), „Haig” (Duf-Coopera), „Allenby” (Wavella). Czasem wodzowie ukazują się parami — „Dwa marszałkowie” (Bazaine i Pétain), czasem kupą — „Napoleon i jego marszałkowie”, „Wielcy żołnierze dwu wojen światowych”, czasem bezosobowo jako „Dowódcy i dowodzenie”.

Ale wodzowie są nie tylko bohaterami literatury, lecz także jej twórcami. Sikorski, de Gaulle, Fuller, Wavell (razem z Liddel Hartem i Wrightem) poruszają rozległe zagadnienia nowoczesnej wojny, a w tej batalii marszałków i generałów gubią się pojedyncze książki „cywilne”. Okno wystawowe księgarni, jak camp wojskowy, może dzisiaj gościć jedynie takich cywilów, których praca związana jest z wojną. Pod niewinnym tytułem „Dzień Marii” Duff-Coopera chowa się opis wojny japońsko-rosyjskiej, a nowe angielskie wydanie Tołstoja „Wojny i pokoju”, ustawione obok nowego wydania Clausewitza „Wojny”, przypomina tezę starego mistrza sztuki wojennej, że przecież obie te formy współżycia narodów są kolejnymi funkcjami tej samej polityki. Trzy tomy „Przemówień wojennych” Churchilla doskonale uzupełniają jego artykuły i mowy ze smutnego okresu polityki monarchistycznej, a powódź ksiąg i broszur o urzędzeniu świata powojennego jest zapowiedzią, że przecież wojna się skończy...

Narazie jednak trwamy w kulcie dla wojskowych, w badaniach nad wojenną przeszłością świata. Studia o zmaganaci i dowódcach poprzednich nabierają wartości aktualnej. Chociaż Foch przestrzegał przed rutyną żołnierzy, skłonnych sądzić, iż każda następna wojna będzie podobna do poprzedniej — jednakże nie jedno zagadnienie przeszłości służy celom aktualnym, „Wspomnienia wojenne” Lloyd George’a torowały drogę reformie organizacji alianckiego dowództwa naczelnego, a w zwycięstwach Wavella nad Grazianim nie trudno odnaleźć wzory sztuki wojennej Allenby’ego.

Jak wojna hiszpańska była międzynarodowym poligonem nowoczesnej taktyki i techniki wojennej, tak literatura wojenna miała ambicję stać się poligonem żywej myśli wojskowej; chodziło o scharmonizowanie kanonów tradycji z innowacjami, które przynosiły szybki rozwój techniki oraz specyficzne metody potencjalnego wroga. Rewelacyjne pod tym względem dzieła generałów Sikorskiego i De Gaulle’a zostały o wiele wcześniej ocenione w Niemczech, niż tam, gdzie były pisane. Gdy autorowie byli w kraju, idee ich były na wygnaniu, a triumf tych idei zastał już generałów na obczyźnie.

Wzrasta też zainteresowanie myślą wojenną przeciwnika oraz dowódcami, realizującymi ją na polach bitewnych świata. Obserwujemy politykę personalną Hitlera i ze zmian osobowych staramy się odcyfrować sens przeszłych i przyszłych wydarzeń. Szczegółowy biograficzny nabierają znaczenia i nawet legendy i plotki stają się materiałem ciekawym. W kraju politycznego black-out’u z elastyczną granicą między polityką i gangsterstwem — również granica faktu i bajki częstokroć jest nieuchwytna. Szczególnie dzieje się tak na odcinku przygotowania wojennego, gdzie zaciemnienie trwa w Niemczech już od czasu Traktatu Wersalskiego.

Mały autor i duże problemy

Czytając dopiero co wydaną książkę „Hitler’s Generals” — byłego pruskiego oficera Reichswehry, W. E. Harta (autora wcześniejszego dzieła o strategii), który musiał zbiec z Trzeciej Rzeszy, wstąpił do armii brytyjskiej i opuścił ją jako inwalida, — przekonanie się można, że nawet obeznanym trudno oprzeć się magicznej sile plotki, chociaż odbywa się to nie tylko kosztem prawdy historycznej, ale też wagi napisanego słowa.

Decydujący problem, ujęty w tytule — stosunek między nowym, „dynamicznym” reżimem, a starą, konserwatywną kastą oficerów — zostaje często sprowadzony na tory małych intryg lub gangsterskich ciekawostek (o wątpliwej zresztą autentyczności). Hart wprawdzie (jako motto do biografii Rundstedta) cytuje znane powiedzenie Mirabeau, że „Prusy nie są państwem, które posiada armię; jest to armia, która podbiła naród”, ale w swej pracy nie robi z tej tezy głębszego użytku, nie tworzy z niej kręgosłupa ideologicznego opowieści i rozważań o Reichswehrze. Na odwrót, skłonny jest do przeceniania wagi

nieuniknionych tarć między czołowąką Nazi a generałami, pozostawiając w cieniu gospodarczo-społeczny oraz polityczno-wojskowy mechanizm, utrzymujący ciągłość imperializmu niemieckiego od cesarstwa poprzez Republikę Weimarską do Trzeciej Rzeszy. Tę ciągłość Plivier ujął w oklepianym już dzisiaj skrótce: „Cesarz odszedł — generałowie zostali”; tytuł zaś Harta: „Generałowie Hitlera” raczej sugeruje, że mamy tu do czynienia z jakąś nową kastą, jak to było z korpusem oficerskim Napoleona, lub jak to jest obecnie w Sowietach.

Tarcia między „fuehrerami” a dowódcami są nie tylko odbiciem niechęci arystokratów wojskowych do partyjnych prostaków. Jest to starszy problem i wcale nie charakterystyczny specjalnie dla ustrojów totalnych. Historia wojskowości siusznie odnosi konflikty między politykami a generałami do okresu demokracji. W wykładzie (trzecim) na uniwersytecie w Cambridge marsz. Wavell powiada: „zatarg między czynnikami cywilnymi i wojskowymi jest względnie nowym elementem w historii, jest wynikiem ustroju demokratycznego, a nie autokracji. Politycy oskarżali wojskowych o ciasnotę umysłów i zbyt pedantyczne zawodowe poglądy, podczas gdy wojskowi byli skłonni przypisywać niejedną trudność „wtrącaniu się” polityków do prowadzenia wojny”.

Wavell stwierdza, że aczkolwiek meżowie stanu często mają strategiczne pomysły wcale świetne, jednak nie znając skomplikowanego mechanizmu nowoczesnej wojny, powinni w tej materii całkiem polegać na swoich dowódcach. „Niemcy doprowadzili rzemiosło wojenne do wybitnej specjalizacji. Przyczyniły się do tego wynalazki i postępy techniki. W znacznej mierze demokracje wytworzyły również typ zawodowego polityka. Nikt już dzisiaj nie może kusić się o odegranie obu ról, należących przecież do tej samej dziedziny rządzenia i prowadzenia ludzkich interesów.”

Bezwzględnie istniały i istnieją zgrzyty między jakąś Hitlera a kastą pruską, między armią — strażniczką Rzeszy na zewnątrz, a partią — strażniczką ustroju na wewnątrz; bezwzględnie odegrały tu również rolę momenty „rasowe” — Hitler jest południowcem i oddzielił regionalną niechęć do dumnych Prusaków; społeczne — pogarda baronów (cywilnych, wojskowych i przemysłowych) do motłochu, do ludzi, których opłacali. Wynikiem krótkiego spięcia była rozprawa z grupą Roehma i śmierć generała Schleichera, wynikiem — cały szereg przesunięć w dowództwie armii i w rządzie Niemiec.

Ale nie można tłumaczyć walki Robiepierra z Dantonem różnicą ich temperamentów, tak samo jest naiwnością nie dostrzec, że ponad trupami Schleichera i Roehma, ponad brutalnie usuniętymi dygnitarzami obu formacji (armii i partii), t. j. ponad Blombergiem, Fritschem czy Federem i Darré dokonał się sojuszek celów i akcji między generałami a politykami, cementowany przez przemysł i banki Rzeszy oraz krew niemiecką i obcą.

Ulegamy często pozorom, zapominamy, że zjawiska, normalne w ustroju demokratycznym, w krzywym zwierciadle reżimów totalnych przybierają formy drastyczne. Dymisja polityczna — w dyktaturach równa się często dymisji fizycznej. Nie należy jednak przeceniać społecznej treści tych wykosławień, nie należy w każdym brutalnie usuniętym dygnitarzu dyktatury węszyć męczennika sprawy wolności, a w każdym krótkim spięciu — zarzewia wewnętrznej bunt. Generałowie odchodzili i wracali — przedtem Fritsch, obecnie Blaskowitz, a sojusz trwa. Tylko pełna klęska militarna Trzeciej Rzeszy potrafi go rozbić.

Oprócz przecenienia tarć oraz niedocenywania wspólnoty celów, jest jeszcze jeden problem, którego nie rozwiązał Hart. Jest to zagadnienie kryzysu (zerwania) tradycji w Reichswehrze. Francuski naczelny wódz (Gamelin w rozmowie z pisarzem Jules Romainsem) uważał, że na tle przeobrażeń w Niemczech, nastąpił rozdział tradycji wojennej, i że to osłabia armię niemiecką. Okazało się później, że to właśnie bezkrytyczne przywiązanie do „tradycyjnego” sposobu ujmowania wojny we Francji było źródłem jej klęski. Ale faktem jest, że na tle polityczno-społecznych zmian, a zwłaszcza na tle klauzuli wojskowych Traktatu Wersalskiego, Reichswehra zmieniła swoje oblicze, że zaczęła ona szukać nowych doktryn, uwzględniających zarówno zdobycze techniczne, jak ograniczenia ilościowe wojska (gen. von Seeckt). Hart wprawdzie wspomina przy tym lub owym generale o tych kwestiach, nie poświęca im jednak należytej uwagi, nie znajduje syntezy poczynionych prób.

Tiere sehen dich an!

I tak główna wartość książki Harta polega na szczegółach biograficznych ludzi, organizujących dzisiaj — już nie podbój świata — tylko obronę „fortecy europejskiej”. Idmy za nim i zapoznajmy się z „generałami Hitlera”. Przed ich prezentacją nie mogą się jednak powstrzymać od przypomnienia jednego epizodu.

Było to już w okresie ogólnego wzrostu

hitlerowskiego ruchu i sformułowania programu wojennego rewanżu. Ukazał się akurat wówczas album (zbombardowanego już dzisiaj) pysznego Ogrodu Zoologicznego w Berlinie. Był to zbiór fotografii zwierząt pod tytułem „Tiere sehen dich an” (zwierzęta patrz na ciebie); cieszył się on wielkim powodzeniem nie tylko u dzieci. Po pewnym czasie pacyfiści niemieccy, zwalczając sojusz grup nacjonalistycznych z armią, wydali pod tą samą nazwą „Tiere sehen dich an” album zdjęć... pruskich generałów. Wówczas Nazi wydali książkę „Juden sehen dich an”, umieszczając tam kwiat inteligencji niemieckiej na czele z Einsteinem, Haberem, Wolfem. A po objęciu władzy przez Hitlera już zagranicą ukazała się książka „Nazi-Fuehrer sehen dich an”, gdzie obok fotografii i biografii wodzów partyjnych były również główne figury zakulisowe Trzeciej Rzeszy.

Prezentując dzisiaj generałów niemieckich, którzy są odpowiedzialni za rozstrzelanie zakładników, jeńców, za tępienie i grabież ludności cywilnej (ujętej w doktrynie o „materiałnym zainteresowaniu żołnierza w wojnie”) — mamy tym bardziej prawo powtórzyć nagłówek wspomnianego wydania pacyfistów.

Odbudowa Reichswehry

Wobec braku postaci Seeckta problem odbudowy Reichswehry powojennej koncentruje się najmocniej w biografii barona Wernera von Fritscha, którą autor dość trafnie otwiera angielską ludową powiastką, że „kto chce pić z diabłem — potrzebuje dużej łyżki”, z racji nieudanej próby generała współzawodniczenia z Fuehrerem.

Fritsch (urodzony w Nadrenii) był synem generała i przeszedł normalną karierę dobrze urodzonego niemieckiego oficera. W 1911 r. jest członkiem generalnego sztabu, w r. 1913 jest jednym z pierwszych oficerów z dyplomem lotniczego obserwatora; — flota powietrzna stawia pierwsze kroki jako narzędzie rozpoznania. Z wojny wrócił Fritsch z opinią dobrego oficera sztabu dywizji, zetknął się z Bauerem (cieniem Ludendorfa) i od razu wprowadzony został w labirynt spraw odbudowy wojennej. Już w pierwszej próbie stworzenia nowego narzędzia imperializmu niemieckiego, w „Balticum” von der Goltza, Fritsch jest szefem sztabu i ma możność przekonać się, że nawet socjaliści popierają awantury rodzimych militarystów. Von der Goltz nosi się z ambitym zamiarem powtórzenia manewru Napoleona z Elby — korzystając z rozbrojenia koalicji, chce „naprawić” klęskę wojenną Niemiec. Energiczna interwencja komisji alianckiej kładzie wreszcie kres „prywatnemu korpusowi” Goltza, a jej naczelnik, francuski generał Nissel, charakteryzując Fritscha, widzi w nim aroganckiego oficera pruskiego typu.

W następnych latach Fritsch współpracuje z von Seecktem przy odbudowie armii; w tym czasie już bowiem klika generalska w przymierzu z ugrupowaniami konserwatywnej prawicy oraz przy współudziale przemysłu rozbudowuje ramy dla przyszłej armii niemieckiego rewanżu. Kontrakcja pacyfistów odnosi taki sam (żaden) skutek, co późniejsze raporty komisji alianckiej o intensywnym rozbudowie fabryk chemicznych i przemysłu wojennego. W Reichstagu padają zapytania, dlaczego stutysięczna armia jest rozmieszczona aż w 127 garnizonach, dlaczego kawaleria 10.000 ludzi posiada 40.212 koni, kto zarządził tajną rekrutację do Reichswehry specjalnie na Śląsku, którą przeprowadza pravicowa organizacja „Stalowy Hełm”, a opłaca Związek Przedsiębiorców oraz armia? Były junkier, nawrócony na demokratyzm, baron Richthofen wskazuje na społeczną budowę korpusu oficerskiego, gdzie na 595 oficerów kawalerii jest aż 265 junkrów, na 724 oficerów ministerstwa Reichswehry 162, na 1512 w piechocie — 265, na 539 w artylerii — 61. Im wyżej stopniem, tym większy udział junkrów: na 105 pułkowników — 45 junkrów, na 42 generałów — 25. Inny znowu poseł (Kreuzberg) wykazuje, że koszt utrzymania sztabu zredukowany(!) Reichswehry wynosił w 1927 r. dwa razy tyle, co w roku przed wojną (1913). Generałowie, którzy Republikę traktują jako parawan dla odrodzenia niemieckiej potęgi, posuwają się tak daleko, że na manewry armii zapraszają Hohenzollernów. Wybuch skandalu i Seeckt musi opuścić swe stanowisko. Na czele armii staje niedołężny generał Haye, co daje Fritschowi okazję zostania faktycznym szefem Reichswehry.

Plany wojny i pokoju

W r. 1928 jest gotów plan Fritscha kampanii przeciwpolskiej, którego założeniem naczelnym jest ofensywa na wschodzie przy defensywie na zachodzie (i przyjaznej neutralności Sowietów).

Pierwsze uderzenie ma wyjść z Pomorza Szczecińskiego, aby przeciąć linię kolejową Gdynia—Katowice i sparaliżować główny polski łańcuch komunikacji. Uderzenie drugie — z bastionu wschodnio-pruskiego — powinno wciąć się w głąb Polski dla połączenia się z pierwszym w rejonie Toruń—Grudziądz. Szybkie uderzenia ma być gwarancją powodzenia akcji: odcięcia i zniszczenia silnej grupy wojsk polskich Pomorza. Gdyby się okazało koniecz-

nym, operacje te uzupełniłoby uderzenie trzecie: ze Śląska przez Piotrków na Łódź. Cała kampania ma być przeprowadzona zaskoczeniem, uniemożliwiającym Polsce uruchomienie rezerw. Na zachodzie Niemcy zostawiłyby jeno słabe przykrycie wzdłuż dolnej Wezery i południowej Saksonii. Zresztą celem zwycięskiej polskiej kampanii miałyby być tylko wymuszenie zgody Francji na pełną odbudowę Reichswehry za cenę wycofania się z pokonanej Polski.

Plany te nie zostały zrealizowane w swoim czasie nie z powodu zastrzeżeń w niemieckim sztabie lub rządzie (co do rozstrzygającej roli szybkich i świetnie wyszkolonych niedużych jednostek), ale dlatego, że rozwój wydarzeń politycznych wewnątrz Rzeszy i nazewnątr — t. j. szybki wzrost ruchu nacjonalistycznego w Republice i ustepliwość Zachodu, otworzyły przed imperializmem niemieckim szerokie możliwości odrodzenia bez ryzyka awantury wojennej. (Zostaną one wykorzystane w r. 1939). Narazie właśnie grupa generałów, na czele z nowym szefem Reichswehry, junkrem von Hammersteinem, staje się nosicielką pokojowej polityki, nawiąnuje interpretowanej zagranicą. Chodzi jej o to, aby Hitler zbyt wcześnie nie obudził Europy z pacyfistycznego latargu i nie wciągnął Niemiec w awanturę wojenną, zanim przygotowania będą zakończone całkowicie. Grupa wojskowa jest za utrzymaniem pokoju, bo pragnie wojny pewnej, wygranej. Fritsch (który po rozprawie z Roehmem i Schleicherem staje na czele armii) jest gotów popierać Hitlera politykę szantażu i bluffu aż — do ryzyka wojny, do której Rzesza nie jest jeszcze gotowa. Reichswehra szkuje się właśnie do wchłonięcia rezerw, które wejdą do niej po samowolnym ogłoszeniu „Wehrfreiheit” (21 maja 1935 r.), a Fritsch kontynuuje przyjaźń z Tuchaczewskim, co się kiedyś obróci zarówno przeciw jednemu, jak i drugiemu. Stosunki z partią komplikują się nieco podczas wojny hiszpańskiej, kiedy koła wojskowe nie chcą rozszerzenia interwencji, w obawie zbrojnego konfliktu z Zachodem.

Sprawę dymisji Fritscha i Blomberga wiąże autor z walką między Gestapo a grupą naczelnego wodza, przypominając głośną kiedyś hecę z megalansem ministra Reichswehry. Hart opowiada, że 28 stycznia 1938 r. Fritsch zwołał zebranie 17 najwybitniejszych generałów niby w sprawie niehonorowego służbu Blomberga z „prostą” dziewczyną, ale faktycznie dla skrytykowania ogólnej polityki Hitlera. Jak wiadomo, w kilka dni poszli do dymisji zarówno Blomberg, jak i Fritsch. Trudno uwierzyć (Hartowi), że była to kara za nieudany zamach stanu. Wiadomo bowiem, że dymisję lutowe objęły również dyplomację, a chodziło o ustalenie ostatecznych terminów wojennych. Z drugiej strony jest prawdopodobne, że Gestapo nie bardzo ufało Fritschowi, wespół w nim groźnego amatora władzy. Prawdopodobieństwo obu tez dowodzi zarówno powrót Fritscha do armii w chwili wybuchu wojny, jak i jego tajemnicza śmierć 22 września 1939 pod Warszawą.

Żołdak pruskiej reakcji — „obroncą Europy”

Ze specjalnym zainteresowaniem czytamy dzisiaj biografie najstarszego w służbie czynnej, 70-letniego feldmarszałka, Karla Rudolfa Gerda von Rundstedta, któremu poruczone zostało naczelné dowództwo frontu zachodniego przed inwazją.

Jest to Prusak z Brandenburgii, absolwent szkoły kadeckiej, który już od 17 roku życia służy armii i reakcji, a pierwsze kroki stawiał w Alzacji, wyznaczony tam dla wzmocnienia pruskiego elementu. Podczas wojny zajmował stanowiska w sztabie korpusu, następnie w generalnym sztabie sprzymierzonej Turcji. Po wojnie studiował przyczyny klęski niemieckiej i dojrzał je przede wszystkim w przewadze potencjału gospodarczego aliantów. Jako szef sztabu dywizji w Turyni odznaczył się bezwzględnością w tępieniu ruchu robotniczego, który w Niemczech centralnych próbuje bronić demokracji przed zakusami junkrów i nacjonalistów (1923 r.). Karabinami maszynowymi zdławił opór robotników, a pod bagnietami przeprowadził wybory do Reichstagu, forsując swoich przyjadł na posłów. Rundstedt uważa, że lojalność obowiązuje oficera jedynie wobec armii, ale nigdy wobec Republiki. A w tym przekonaniu nie był odsobniony.

Lata 1925—1927 poświęca studiom nad armiami francuską i rosyjską, opracowuje schematy manewrów dla tajnego generalnego sztabu Niemiec, kładąc nacisk na potrzebę mechanizacji transportu i ataku. Będąc w Kassel (Ruhr), zajmuje się Rundstedt zagadnieniem przedstawienia i rozbudowy przemysłu dla zadań wojennych, a przeniesiony do Wrocławia — planami ataku na Polskę. Gdy kryzys polityczny reżimu dojrzewa, zostaje przeniesiony do Berlina, gdzie jest potrzebny dla zwalczania, słabych zresztą, prób oporu socjalistycznego rządu Prus. Policja, uzbrojona na wzór piechoty Reichswehry, znajduje się w rękach socjalistów, ale jej kierownicy Severing i Grzesiński, którzy dzisiaj organizują w Stanach Zjednoczonych „Komitet demokratycznych Niemców”, nie potrafili nie tylko utrzymać władzy, ale na-

wet jej godnie obronić. 20 lipca plutony Rundstedta gładko likwidują pruski rząd Brauna, a władzę obejmują Papen oraz gen. Schleicher, aby ją wkrótce zdać Hitlerowi. Generałowie sądzą, że w razie potrzeby zaduszą trzecią Rzeszę, jak zadusili Pierwszą Republikę. W rozprawie z radykalnym odżadem Roehma widzą zapowiedź bezwzględnej tępienia odruchów socjalnych i wybaczą mord nad Schleicherem.

Poglądy i kampanie Rundstedta

W odróżnieniu od innych dowódców, których po wojnie fascynują nowe rodzaje broni, Rundstedt zajmuje się przede wszystkim reformą piechoty, by nie była bezsilną wobec broni automatycznej i pancernej. Kompania piechoty niemieckiej zostaje wyposażona silniej niż cały pułk w minionej wojnie: 12 karabinów maszynowych, 3 lekkie moździerze, broń przeciwpancerna. Pułk zaś posiada aż trzy kompanie ckm, 6 ciężkich moździerzy, kompanię przeciwczołgową, broń pelot, poza tym plutony komunikacyjny, inżynierski, kawalerię. Rundstedt zwalczał rozpowszechniające się poglądy o degradacji roli piechoty w wojnie motorów. Twierdził, że zawiązanie polem i nawet przełamanie oporu nieprzyjaciela pozostaje zadaniem piechurów i dla wypełnienia tych właśnie zadań piechota musi nadać za bronią motorowymi, czyli że powinna sama się zmotyrować (co zostało wykonane w latach 1935—37).

Ostatnie lata przedwojenne Rundstedt ponownie poświęca studiom wojny poprzedniej i dochodzi do wniosku, że w walce z Anglią czynnik czasu w końcu zawsze obróci się przeciw państwu kontynentalnemu; państwo kontynentalne zaś wojny długiej nie może prowadzić bez stałych dostaw surowców i dlatego Niemcy mogą z Wielką Brytanią wojować tylko w sojuszu albo ze Stanami Zjednoczonymi, albo z Rosją. Jeśli zaś Berlin stawia sobie za cel panowanie nad kontynentem, może to osiągnąć jedynie w sojuszu z morską potęgą. Wywody Rundstedta były jednak obalone przez partię wojny, która pokładała nadzieję bądź w słabości Anglii, bądź w zapewnieniach Ribbentropa, że „kuzyni za kanałem” w ogóle nie będą wojować.

W kampanii polskiej Rundstedt dowodził grupą południową, która uderzyła ze Słowacji na armię polską Kraków—Łwów, zwyciężył pod Kutnem, zdobył Warszawę. W r. 1940 wojska Rundstedta w pierwszej fazie sforsowały rzekę Maas, co miało znaczenie decydujące, a następnie przerwały linie Weyganda, otwierając drogę wojskom pancernym na tyły linii Maginota.

Przy ataku na Rosję Rundstedt był dowódcą czterech armii (w sile 50 dywizji), uderzających na Budionnego (front południowy). Chociaż wojska jego składały się w wielkiej części z Rumunów, Węgrów i Austriaków, osiągnął on imponujące wyniki i tylko dobra robotą sztabu Czerwonej Armii potrafiła uratować wielką część sił przed zagładą. Niemieckie dowództwo bowiem liczyło na to, że uda się w pierwszych już tygodniach zniszczyć żywą siłę przeciwnika, a taką okazję dojrzał Rundstedt w końcu sierpnia 1941 r. w odcinku Homel—Kijów. Mając na froncie środkowym armię von Bocka, Rundstedt ułożył plan wspólnej operacji, w której prawie skrzydło Bocka miało wysunąć się naprzód i razem z grupą południową okrążyć i odciąć ukraińską armię sowiecką. Bock jednak manewru nie wykonał, gdyż pod wpływem Hitlera wdał się w kampanię na Moskwę; wzięcie Kijowa opóźniło się wobec tego o 5 tygodni, a ukraińska armia zdołała się wycofać.

Gdy Goebbels (we wrześniu) ogłaszał tryumf wzięcia ukraińskiej stolicy, Rundstedt najlepiej wiedział, że prawdziwy tryumf został przegany. Kampania moskiewska również skończyła się fiaskiem i rok 1941 minął bez rozstrzygających zwycięstw, bez koniecznych pozycji wyjściowych do akcji następnych. Naczelny wódz (Brauchitsch) idzie do dymisji, a Rundstedt przewodzi (w marcu 1942 r.) konferencji strategicznej w Berlinie. Na tej naradzie Rundstedt bez osłonek kreśli perspektywę po przegranej „blitzu” i wskazuje na konieczność uwzględnienia również możliwości drugiego frontu. W wyniku tej konferencji obejmuje on, jako znawca zachodu, obronę Europy przed inwazją, mając do współpracy Rommla (jako inspektora fortyfikacji), Sperla (jako szefa lotnictwa) i ostatnio również gen. Blaskowitza.

Rundstedt jest dowódcą bezwzględnym i jednym z pierwszych jego wyczynów na nowym stanowisku było rozstrzelanie 150 oficerów i żołnierzy niemieckich za techniczne błędy przy szkolnym raidzie alianckich komandosów na Boulogne. Polega on przede wszystkim na siłach własnych, nie mając żadnego zaufania do Mussoliniego, którego traktował pogardliwie, powtarzając określenie Kemala Paszy, że „to jest nadęta żaba białych pontyjskich”.

Hart kończy biografię Rundstedta stwierdzeniem, którego wartość będziemy niebawem w stanie sprawdzić: legendę o tym, że Rundstedt rozciągnie swe siły na całą przestrzeń ochronnego wału, należy odrzucić. Jego koncepcję raczej jest koncentrowanie kułaka pancernego i rezerwy, aby je pchnąć w najbardziej decydującej chwili w te miejsca, które będą najbardziej zagrożone lub najdogodniejsze dla Niemców.

„Dobry Niemiec”

Na osobie byłego naczelnego wodza Rzeszy, Walthera Heinricha Alfreda Hermanna

von Brauchitscha, potomka starej wojskowej pruskiej rodziny, autor próbuje wybielania konserwatywnej kasty oficerskiej. Powiada nawet, że Brauchitsch jest typem Niemca do reedukacji po wojnie, gdyż Traktat Wersalski łamał tylko na piśmie (!) rozkaz, a będąc przekonany, że Wielkie Niemcy predystynowane są do panowania nad światem, nie mógł być fair w swoich metodach...

Cała kariera Brauchitscha, jak jego przodków i kolegów, polegała tylko na jak najlepszym przygotowaniu Niemiec do militarnego zniszczenia innych narodów: szkoła kadecka, pułki gwardyjskie, studia, sztaby, wojny; że przy tym studiował nie tylko wojskowość i technikę, ale socjologię, ekonomię i filozofię (o czym tak rzewnie pisze Hart), jest właśnie dowodem, że wysoki stan cywilizacyjny (nie kulturalny) Niemców nie był przeszkodą, ale bazą reakcyjnego militarysty, obracającego nawet wykuty postęp w narzędzia śmierci i wstępnictwa. Nie jest to czymś nowym w dziejach „narodu poetów i filozofów”. Gdy ponad sto lat temu na oczyszczeniu Boernego o Niemcach jakiś nacjonalista krzyknął, że niemiecki naród wynalazł proch, Boerne odrzekł: „Mylicie się, przyjacielu, twierdząc, że niemiecki naród wynalazł proch. Niemiecki naród składa się z 30 milionów ludzi i tylko jeden z nich wynalazł proch... Pozostali 29.999.999 Niemców nie nie wynalazł. Zresztą, proch jest dobrym wynalazkiem, prawie takim, jak druk: należy tylko zrobić z niego właściwy użytek. My zaś, Niemcy, wyszukujemy druk dla rozpowszechniania fałszu, a proch — dla rozpowszechniania niewoli.”

Filozof na tronie — Fryderyk, i to Wielki — rozbierał sąsiednie państwa i zdradzał sojusze, a filozof w mundurze, Brauchitsch, łamał traktaty na rozkaz i szykował zdradliwe wojny niemiecką metodą naukową. „Ja organizuję — lubiać mawiać — zanim walczę”.

W wywiadzie dla „Encyklopedii Biograficznej” w r. 1931 Brauchitsch ku zdziwieniu junkrów (i zachwytowi Harta) opowiada, że najbardziej go interesują społeczne i polityczne problemy dnia dzisiejszego. To przesada, bowiem cały czas między dwiema wojnami Brauchitsch przede wszystkim organizuje machinę wojenną rewanżu, pracuje nad uzbrojeniem artylerii, kieruje wojennymi przygotowaniem w Prusiech Wschodnich. I chociaż nie jest sympatykiem Nazi, chociaż oświadcza (podobno), że „minęły czasy, kiedy kaprale stawali się Napoleonami” — właśnie jego kapral Hitler wyznacza wodzem naczelnym na miejsce zwolnionego Fritscha, a w jednym z rozkazów Brauchitsch zapewnia, że „armia niemiecka poniesie sztandar niemiecki wszędzie tam, dokąd zażąda Fuehrer”. Trudno uwierzyć, że była to tylko wazymna adoracja malarza i filozofa — o wiele prościej jest przyjąć, że w przededniu uderzenia demagog wojny i jej organizator podają sobie ręce.

Strateg i taktyk

Koncepcje Brauchitscha złożyły się pod wpływem wojny poprzedniej. Był on na odcinku Verdun i na jego oczach rozplynął się we krwi niemieckiej plan Falkenhayna zlamania Francuzów przez ciągłe ataki. Czas, mnożony przez ofensywę niemieckie, skruszył siły atakujących na tyle, że Francuzi nie tylko utrzymali pozycje, ale nawet potrafili przejść do ofensywy nad Sommą. Dla Brauchitscha było to nauką, że każda ofensywa musi być ograniczona w czasie, inaczej bowiem osłabi nacierających szybciej niż obronę.

Mając w pamięci Marne i Verdun, był zwolennikiem zaatakowania tylko Francji Północnej (przez Belgię i Holandię), odrzucając w r. 1939 propozycję Hitlera kontrataku w rejonie Saary. Odrzucał również błędną taktykę marszu w głąb, do Paryża, gdzie w wojnie poprzedniej Joffre rozbił siły niemieckie, uważając za konieczny natomiast w pierwszej fazie wojny marsz wzdłuż Kanału dla odciążenia i zniszczenia Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego i wyborowej armii George'a oraz sparaliżowania grupy wojsk od Paryża do północnego krańca linii Maginota. Warunkiem powodzenia operacji miały być szybkość i utrzymanie całkowitej inicjatywy, uniemożliwiających napadniętym przeciwnikom. Dużą rolę przypisywał tutaj broni motorowo-pancernej, zdolnej szybko rozszerzyć początkowy sukces pierwszych uderzeń.

Gdy piszemy te słowa, pierwszy rzut anglo-amerykańskich wojsk wylądował w Normandii. Pierwsze uderzenia zostały zadane. Miejsmy nadzieję, że napór alianckich dywizji pancernych tak samo szybko rozszerzy wyrwy poczynione w wale obronnym Rundstedta, torując armiom drogę do Francji, a Francji drogę do wolności.

Dwaj Hartowie i jeden Rommel

Junkierskie odchylenie Harta, tak wyraźne przy kreśleniu sylwetki Brauchitscha, odbija się też w ujęciu kariery i talentu feldmarszałka Erwina Eugena Johanna Rommla, dzisiejszego generalnego inspektora fortyfikacji „twierdzy europejskiej”.

Wierny swej błędnej tezie — wykrzywiając świadomość czy nieświadomie cały obraz nowoczesnej Reichswehry — o głębokim rozdźwięku między reżimem a armią, Hart powiada o Rommlu, że to jest „generał Hitlera”, podczas gdy taki Fritsch, Rundstedt czy Brauchitsch są „generałami armii imperialnej”. Po takim sztucznym rozgraniczeniu nie trudno już Hartowi (byłemu pruskiemu oficerowi) napisać — bez ujmy dla armii imperialnej — że Rommel jest tylko napuszoną aragantem, który niepewność siebie chowa pod mas-

ką „chucy” i bluffu, karierowiczem, nie wierzącym ani w religię, ani w kult nordycki rasizmu.

Rommel — jeden z nielicznych niearystokratycznych wysokich dowódców Reichswehry — rzeczywiście jest „wydwiznieniem” (jak się to określa w Rosji) hitlerowskiego reżimu. Nie jest też naszym zadaniem ani zamiarem bronzowanie brązowego oficera, ale chodzi nam o rzetelną informację, którymi nie deorientowała czytelnika, pamiętającego Afrika Korps i starania alianckich komandosów porwania jego wodza. Nie ulega również wątpliwości, że doświadczony Rundstedt nie tolerowałby na tak odpowiedzialnym stanowisku i w tak krytycznym czasie byle partyjnego bubka. Reichswehra jak ognia bała się dyletantów.

To też uwierzymy raczej tej ocenie, którą dał Rommlowi drugi Hart (Lydell) jeszcze podczas walk w Północnej Afryce. Znany angielski pisarz wojskowy wysoko cenił talent Rommla, podnosząc przede wszystkim jego oryginalne koncepcje wojny pustynnej (którą traktował jak morską), jego znajomość „duszy motoru”, jego pomysły techniczne i taktyczne. Jeśli chodzi o używanie sił pancernych, Rommel (jak Rundstedt) jest przeciwnikiem metody „wyciągniętego ramienia”, t.j. rozproszenia ich dla wzmocnienia wszystkich oddziałów, lecz koncentruje je „w ściśniętą pięść”, ażeby w decydującym miejscu uzyskać decydującą przewagę. Wzorując się na wojnach morskich, Rommel nie przykładał specjalnego znaczenia do przetrzeni, lecz podnosił wagę pewnych punktów oporu, baz oraz szybkości. Dla ostatniej zdjął nawet z czołgów część opancerzenia, używając ich jako szybkobieżnej artylerii.

Zdaniem Harta (angielskiego) Rommel jest dowódcą wysokiej klasy, o ruchliwym umyśle, pomysłowym, dostosowanym do nowoczesnych sposobów wojny.

W armii i partii

Rommel (syn nauczyciela ludowego z Wirtembergii) jest jeszcze stosunkowo młody, — liczy dzisiaj 53 lata. Od r. 1910 jest w wojsku, od r. 1914 — oficerem. Tamtą wojnę przeżył na różnych frontach, przy czym nabraw pogardy do wszystkiego, co się znajduje na południe od Niemiec. W kampanii francuskiej uzyskał krzyż żelazny, a pod Caporetto najwyższe odznaczenie. Po demobilizacji, nie przyjęty ani do tajnego sztabu, ani do kadry Reichswehry, wstępuje Rommel na politechnikę (w Bawarii) i staje się tam przywódcą SA. Ruch Hitlera stawia pierwsze kroki, a sam Fuehrer ma możliwość przemawiać jedynie w Monachium. To też pierwszym wyznaczeniem Rommla, na czele oddziału SA, jest „zdobycie” miasteczka bawarskiego Koburga, gdzie Hitler i Goering są dyktatorami przez sześć godzin, a później marszałek po krótkiej defiladzie organizuje swój „pierwszy odwrot”.

W tym samym czasie zbliża się Rommel do grupy byłych generałów von Eppa i Haushofera, twórców geopolityki, dla których na globusie nie było granic przyszłej niemieckiej potęgi. W tym kole studiują również Hess i wykują się program kolonialny i wschodni odrodzonego imperializmu. Równocześnie zostaje Rommel wciągnięty do Reichswehry jako wykładowca taktyki dla oficerów piechoty. Nie przeszkadza to mu w opracowywaniu memoriałów dla Hitlera, a w jednym z nich pisze, że „nasze czołgi będą rysować krwawe ślady na mapie, jak nóż chirurga”.

Gdy Hitler dojdzie do władzy, Rommel stanie się oficerem łącznikowym między armią a Hitlerjugend, następnie członkiem sztabu Fuehrera; książka jego „Ataki piechoty” jest podręcznikiem wyszkolenia armii, a on sam po zajęciu Austrii jest wykładowcą w szkole wojskowej Wiener Neustadt.

Plan-Sued

W owym czasie Rommel na rozkaz Hitlera zapoznaje się z t. zw. „planem-Sued” (południe), bazą współpracy wojskowej włosko-niemieckiej w Afryce. Twórcą jego był niemiecki generał, Tschmirer. A gdy naczelnym wódcą Brauchitsch objęddza w towarzystwie gubernatora włoskiej Afryki, marszałka Balbo, Cyrenalkę i Libię, w jego sztabie znajduje się również Rommel. Wówczas Balbo oświadcza proroczo, że „Niemcy już nasyczą nam swoich przyszłych inspektorów”. Powrót Rommla z Włoch i północnej Afryki zapoczątkował szalony wzrost propagandy kolonialnej, na której czele stał gen. Epp. Myślano ogólnie, że chodzi tylko o poparcie kolonialnych żądań Ribbentropa wobec Anglii, na prawdę jednak akcja miała cele o wiele szersze: zostały stworzone ośrodki kolonialne w Schlezvigu—Holstynie i Bawarii oraz cały szereg obozów ćwiczebnych. Kandydaci do Afrika Korps przechodzili specjalne przysposobienie i ćwiczenia, a ekwipunek i dietę dla nich ustalał Tropikalny Instytut w Hamburgu. Selekcja kandydatów była bardzo surowa.

Gdy Włochy przystąpiły do wojny i armia Grazianiego została pobita, wejście Afrika Korpsu do akcji stało się koniecznym. Ataki i kontrataki 1941 r. mało zmieniły sytuację. Dopiero w r. 1942 Rommel ze zwiększonymi siłami ruszył aż pod El-Alamein, wykazując się wspaniałą pracą sztabu, współpracą broni i sprężystą organizacją zaopatrzenia. W tych dniach był u szczytu sławy, wrócił do Berlina, gdzie był witany olbrzymią manifestacją w Sport-Pałaście, a 3 października oświadczył zagranicznym dziennikarzom, że „dzisiaj stoimy 100 km. od Alek-

sandrii i trzymamy klucz do Egiptu. Myśmy tam nie przyszli poto, żeby wrócić”.

Jeśli proroctwa Rommla o mocy fortyfikacji „twierdzy europejskiej” mają tę samą wartość, co jego przepowiednie afrykańskie, wał atlantycki szybko będzie sforsowany.

Trzecia wojna albo hasło Virginii

Przegląd dowódców (armii lądowej) obejmuje jeszcze marszałków: Bocka i Keitla. Biografia pierwszego mieściłaby się całkowicie w starym powiedzeniu, że „krew żołnierzy tworzy sławę generała”, gdyby ta sława nie była mocno nadzarpnięta klęskami na froncie wschodnim.

Krew (obecą) przelewał Fedor von Bock nie tylko na froncie. W okresie organizacji tajnych szkodów i tajnych formacji t. zw. Czarnej Reichswehry Bock był jednym z ważniejszych działaczy nielegalnej odbudowy machiny wojennego odwetu i na jego rozkaz były urzędowe mordy kapturowe (słynne Feme-mordy) pacyfistów lub niepewnych agentów, którzy za dużo wiedzieli. Potomek pruskiej rodziny generalsko-junkierskiej, podzielał Bock koncepcję swej kasty, że wojnę, przegraną na zewnątrz, należy wygrać na froncie wewnętrznym. Tolerowanie Republiki było koniunkturalne, konieczne w początkowym okresie politycznego kamuflażu, kiedy militarystom niemieckim musiał się przyznać za ładą demokrację, zważając Stresemannowie sprzedawali zwyciężonej wojną Europie dawki miłej ułudy pacyfizmu. W owym okresie odpowiedzialni pracownicy Seektu unikali wikłania się w pucze anty-republikańskie, uważając je za przedczesne zarówno pod względem nastrojów samych Niemiec, jak i też w obawie sprokowania czułości kołysanej do snu Europy. Likwidowali oni Republikę na raty, wyzyskując stanowiska, powierzone im przez nią. To też Bock, zapytany na pewnym procesie o mord kapturowy, czy brał on udział w spryskiwaniach anty-republikańskich, z brutalną szczerością Prusaka odrzekł — „po-co, przecież to były beznadziejne przedsięwzięcia”.

W ruchu Hitlera partia wojenna Niemiec, sfery wojskowe i przemysłowe znalazły nalezitego sprzymierzeńca. Wspólną platformą był swoiście niemiecki patriotyzm, wypływający u jednych jak i drugich nie z miłości swego kraju, ale z nienawiści i zawiści do narodów sąsiednich. Jest to miłość ojczyzny bez granic — obcych.

Tych rzeczy nie dostrzega Hart, zapatrzony w konflikty wewnętrzne. Istniały one zawsze. Nawet w okresie zwycięskich wojen drugiej połowy 19-go wieku — kiedy pod maską zjednoczenia Niemiec umacniał się despotyzm pruski — cesarz wciąż musiał interweniować w kłótniach między Bismarckiem a Moltkem, realizującymi przecież te same cele. Nie brakło ostrych tarć i podczas pierwszej wojny światowej.

Stawiać dzisiaj na wojskowych (i przemysłowych) oponentów Hitlera, znacząco wzmocnić tych, którzy wojnę tę chcieli organizować i prowadzić jeszcze bardziej systematycznie i ostrożnie, żądali np. rozprawienia się z osamotnioną Angią przed kampanią rosyjską. Jest to również reklamowanie rezerwowej formacji niemieckiego imperializmu, kandydatów do Czarnej Reichswehry nazajutrz po klęsce. Czy nie ich miał na myśli gen. von Armin, oświadczając, w angielskiej niewoli, że Niemcy wygrały trzecią wojnę światową?

Opinia się też nie zgodzi z tezą autora, że za mord i grabież, masowo i planowo uprawiane przez armię, ponosi odpowiedzialność Wilhelm Keitel, szef sztabu Fuehrera. Jest to sprowadzanie wielkiego problemu — odpowiedzialności reżimu, czy nawet narodu — do zagadnienia personalnego, szukanie „dobrych Niemców” nawet w otoczeniu Hitlera. Pouczające są pod tym względem relacje o niepowodzeniu „akcji reedukacyjnej” w obozach jeńców niemieckich w Stanach Zjednoczonych. Nie tylko nie chcą tam słuchać o Komitetach demokratycznych Niemców, wrastających w miarę postępujących klęsk Trzeciej Rzeszy, ale odnowiły się nawet mordy kapturowe na nielicznych adeptach „reedukacji”.

Fiasco planów tworzenia „dobrych Niemców” w rezerwach amerykańskich oraz zacięty opór niemiecki w Europie przypomniał może potomkom hasło ich przodków — kolonistów z Virginii, którzy w strasznej wojnie rasowej końca XVIII w. w Ameryce orzekli, że „every Indian is a bad Indian, only a dead Indian is a good Indian”. (Każdy Indianin jest złym Indianinem, tylko martwy Indianin jest dobrym Indianinem).

Hasło to było wtedy zawołaniem eksterminacji rasowej. Dziś musi być ono symbolem obrony narodów europejskich przed losem Indian. Musi nim być przynajmniej tak długo, dopóki „reedukacja” z postulatu marzycieli i kombinatorów nie stanie się faktem życia politycznego.

Gustaw Rey

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

WYBÓR POEZJI

1925—1944

Cena 200 milsów

Wydawnictwo „W Drodze”, Jerozolima

IVOR THOMAS

MUSSOLINI ZDOBYWA WŁADZĘ¹⁾

Powstanie faszystów

Gdy wojna dobiegła końca, świeżo zrodzony patriotyzm Mussoliniego w naturalny sposób opadł. Jego starzy towarzysze z partii socjalistycznej nie chcieli go już mieć z powrotem między sobą za żadną cenę. Ale wyczuwało się łatwo, iż naokoło panował rosnący wciąż duch niezadowolenia, który zdolny i ambitny człowiek mógłby łatwo wyzyskać dla swoich celów. Mussolini postanowił utworzyć własną grupę polityczną i zwołał zebranie na dzień 23 marca 1919 r. w kilku pokojach, wynajętych mu przez pewnego bogatego Żyda mediolańskiego. Pokoje te wychodziły na Piazza San Sepolero, od którego zgromadzeni przeszli nazwę: „Sansepolerista”. Grupa otrzymała nazwę: „Fasci italiani di combattimento” (jak widzimy termin „Fasci” — „Związki” był już wówczas w powszechnym użyciu). W ten sposób powstał ruch faszystowski. Nazwę jego można przetłumaczyć jako: „Włoskie związki kombatantów” i, sądząc z programu, przyjętego dnia 23 marca 1919 r., faszystów miało zwalczać wszystko to, co w późniejszych latach stało się podstawą ruchu faszystowskiego we Włoszech. W swych 14 punktach programu faszystów domagał się narodowego zgromadzenia ustawodawczego, będącego włoską sekcją Międzynarodowego Zgromadzenia Ustawodawczego Narodów; ogłoszenia republiki włoskiej; zniesienia senatu; zniesienia wszystkich tytułów szlacheckich; zerwania z systemem przymusowej służby wojskowej; wolności słowa i sumienia; szkolnictwa, dostępnego dla wszystkich; rozwiązania spółek akcyjnych; cenzusu i opodatkowania majątku prywatnego; zakazu pracy nieletnich poniżej lat 16; produkcji, opartej na systemie spółdzielczym, z podziałem zysków; skończenia z tajną dyplomacją; wreszcie polityki międzynarodowej, opartej na współpracy narodów.

Nie należy sądzić, iż Mussolini, kładąc swój podpis pod tym rewolucyjnym, republikańskim dokumentem, kierował się świadomym faizmem. Tak nie jest. Raczej wszystko wskazywało na to, iż wówczas gotów był przyjąć każdy program polityczny, któryby zapewnił mu czołową pozycję. Szybko się zorientował zresztą, iż programem San Sepolero celu tego nie osiągnie. Przy wyborach w 1919 r. Mussolini wraz z futurystą Marinettim, słynnym dyrygentem Toscaninim i trzema innymi, zdobył mniej niż 5.000 głosów na 346.000. Następnego dnia „Avanti!” podało, iż „z kanału Naviglio wyłowiono trupa w stanie zupełnego rozkładu i zidentyfikowano go jako zwłoki Mussoliniego”.

Ale Mussolini wkrótce pokazał wszystkim, że „trup” był jeszcze pełen życia. Wyprawa d'Annunzio na Fiume wskazała mu łatwiejszą drogę do osiągnięcia władzy niż Sansepolerizm.

D'Annunzio i Fiume

Fakt, iż nie udało się uzyskać Fiume, był dla nacjonalistów włoskich ciosem najboleśniejszym na konferencji pokojowej. D'Annunzio nie mógł pogodzić się z tą klęską dyplomacji włoskiej i w jego umyśle poety zrodziła się „wspañała” myśl zajęcia miasta i trzymania go siłą, wbrew stanowisku Aliantów, a nawet, jeśli zajdzie konieczność, wbrew rządowi włoskiemu. D'Annunzio zebrał bandę, złożoną głównie z awanturników, którzy z powodu nagłego zawarcia pokoju znaleźli się w nad wyraz krytycznej sytuacji, bez zajęcia i środków. Ubrał ich w czarne koszule — strój tak zwanych „arditi” (specjalne wojska, odpowiadające naszym dzisiejszym komandosom) i kazał im krzyknąć: „Eia, eia, alala!” We wrześniu 1919 r. poprowadził d'Annunzio swoich ludzi na Fiume, zmusił generała Pittalugę do poddania się i ustanowił w zdobytym mieście swoją „regencję”.

Ze swego biura w Mediolanie Mussolini śledził rozwój wypadków z wielkim uznaniem. Podobają mu się te czarne koszule, lubował się w hasłach; zastępuje je później w swym własnym ruchu. Ale przede wszystkim d'Annunzio przekonał go o wartości metod gangsterskich w polityce. Była to lekcja, którą wkrótce Mussolini wyzyskał na szerszej arenie.

D'Annunzio tymczasem zorientował się, że wojsko nie może być samą tylko poezją. I tu ukazuje się Mussolini na widowni. Otworzył subskrypcję na fundusz dla ekspedycji d'Annunzia w „Popolo d'Italia”. Datki płynęły, osiągając wysokość 300.000 lirów, ale nie ma żadnego dowodu na to, że jakaś większa suma kiedykolwiek dotarła do Fiume. Oskarżono Mussoliniego o użycie darów na swój fundusz wyborczy; przyznał się, iż istotnie zużył kilka tysięcy lirów na opłacenie „uzbrojonych band, znajdujących się pod jego rozkazami”. Było to pierwsza oznaka, iż z faszyzmem oddał wypadnie liczyć się poważnie. Zamieszanie trwało, ludzie d'Annunzia głodowali, a gen. Caviglia zagroził im bombardowaniem. D'Annunzio wierzył, iż w momencie gdy rząd

włoski pójdzie przeciwko niemu, Mussolini wystąpi przeciwko rządowi. Przypuszczalnie nawet istniało w tej sprawie jakieś porozumienie. Ale Fiume zostało zbombardowane, a Mussolini nie wystąpił.

Faszystów uprawia metody gangsterskie

Wyjaśnienie zdrady Mussoliniego ma to następujące. Giolitti, zostawszy ponownie premierem, przedsięwziął środki w celu zapewnienia sobie neutralności Mussoliniego, który, zadowolony z perspektywy usunięcia nowej „primadonny” z włoskiej sceny politycznej, chętnie na te metody się zgodził. Koncepcja polityczna Giolittiego polegała na wygrzaniu jednej partii przeciwko drugiej. W danym wypadku pomysłom jego było użycie faszystów w celu zniszczenia socjalistów; miał on nadzieję, że później poradzi sobie i z faszystami. (Był to ten sam błąd, jaki popełnił von Papen wobec narodowych socjalistów w r. 1933). Targ został ubity na warunkach następujących: Mussolini miał opuścić d'Annunzia w zamian za zaaprobowanie przez Giolittiego potajemnego uzbrojenia bojówek faszystowskich.

Pierwsza część planu Giolittiego udała się. Bojówkarze Mussoliniego podpalali redakcje czasopism, lokale, w których mieściły się stowarzyszenia handlowe, spółdzielnie i związki katolickie; niszczyli prywatne mieszkania swych przeciwników i pozabijali wielu członków lewicy i stronnictw katolickich. W tym samym czasie faszystów stosowali te metody gwałtu na wsi, służąc w ten sposób interesom wielkich posiadaczy ziemskich. W całych Włoszech rozszalała walka partyzancka.

Propaganda faszystowska rozsiewała, nie bez powodzenia, legendę, że w latach 1919-1922 Włochy były w stanie rewolucyjnego bolszewizmu, od którego zostały uratowane przez Mussoliniego. W legendzie tej wybitne miejsce zajmuje okupacja fabryk przez robotników we wrześniu 1920 r.

W rzeczywistości wydarzenia miały wówczas charakter bardzo spokojny — robotnicy zamknęli się w fabrykach i pracowali nadal, na co Mussolini wyraził swą zgodę. Ponad to przed dojściem faszystów do władzy Mussolini często stwierdzał, że niebezpieczeństwo bolszewizmu dla Włoch minęło. W tych czasach Mussolini skłonny był popierać każdego, kto jego popierał. (W maju 1921 proponował nawet rozdzielenie pertraktacji z socjalistami o przerwanie walki, a potem, równie niespodzianie, pogodził się z monarchistami). Zaakceptował on okupację fabryk, lecz w tym samym czasie zaproponował oddanie swych bojówek do dyspozycji pracodawców. Wielcy przemysłowcy i obszarnicy w Rzymie w Mussolinim człowieka, który mógłby im się przydać. Rozpoczęli wspomagając jego ruch i pomoc ich zdecydowała o kierunku tego ruchu. Wtedy ludzie ci byli opiekunami Mussoliniego; później jednak nie mogli się go pozbyć, choć tego chcieli. Uderza tu znowu podobieństwo sytuacji, towarzyszącej dojściu Hitlera do władzy.

Rola Mussoliniego w tych latach była poprostu rolą gangstera. Metody jego przypominały

te metody, za których pomocą Maffii udało się sterroryzować Sycylię i które inny Włoch, Al Capone, stosował później w Chicago. Usługi Mussoliniego były do dyspozycji tego, kto płacił najwięcej, a jego „przyjaźń” trzeba było kupować w obawie przed konsekwencjami, grożącymi w przeciwnym wypadku. Mussolini stosował później te same metody na arenie międzynarodowej. Zaś po raz pierwszy zastosował te metody na wielką skalę w marszu na Rzym.

Marsz na Rzym

Idea marszu na Rzym w celu zawiązania państwem była popularna we Włoszech w r. 1922. Mussoliniego popychały do niej zarówno temperament, jak i istniejące okoliczności. Nigdy nie lubił demokracji parlamentarnej. W 1921 r. wybrano go na posła, co w niczym nie zmieniło sytuacji. Zdawał sobie on doskonale sprawę z tego, że jego nędznie uzbrojeni faszysty sami nie będą mogli ująć władzy w swe ręce. W nowoczesnym państwie nie może liczyć na powodzenie rewolucja bez wydanej pomocy wojska. Traf chciał, iż książę d'Aosta (dowódca Trzeciej Armii w czasie pierwszej wojny światowej, ojciec księcia d'Aosty, który zmarł w Afryce, w niewoli w 1942 r.) doszedł do wniosku, iż należy odebrać władzę z rąk siabego rządu premiera Facty i oddać ją w silne ręce; sztab generalny z szefem Diazem na czele zgodził się na to. Są pewne dowody na to, iż z początku chcieli oni użyć jako narzędzia przygotowanego zamachu stanu d'Annunzia albo gen. Peppina Garibaldiego. Gdy ci dwaj odmówili, wybór ich padł na Mussoliniego. Niewiadomo było, co uczyni król. Urządzono, że jeśli król Wiktor Emanuel odmówi swej zgody, zostanie zmuszony do abdykacji, a książę d'Aosta zostanie regentem.

Od 24 do 26 października odbywał się wielki kongres faszystowski w Neapolu. „Uroczyste przysięgam — oświadczył Mussolini — że albo rząd tego państwa spokojnie przejdzie w ręce faszystów, albo weźmiemy go siłą. Nadszedł moment, gdy straża musi opuścić łuk, gdyż w przeciwnym razie zbyt napięta cięciwa może pęknąć”.

„A Roma! A Roma!” krzyczeli jego pijani słuchacze, lecz Mussolini, nie będąc jeszcze zupełnie pewny swego planu, powrócił do Mediolanu, aby być bliżej granicy. Zorganizowanie zaś marszu na Rzym w trzech kolumnach pozostawił swym zastępcom, wśród których było wielu wysokich oficerów. Uczestnicy marszu nie napotkali na żaden opór i w sile 20.000 ludzi zebrał się w Rzymie 28 listopada.

Można ich było właściwie rozproszyć bardzo łatwo. Włosi z całą pewnością twierdzą, iż generał Badoglio prosił o „dieci minuti del fuoco” (10 minut ognia), by położyć kres faszystom, ale rząd odmówił. Wiadomym jest, iż Facta chciał ogłosić stan obłężenia i uzyskać zgodę króla. Ale gdy zwrócił się do króla z prośbą o podpisanie dokumentu, monarcha cofnął swe przyzwolenie, dowiedziawszy

szy się tymczasem o stanowisku, zajętym przez jego kuzyna, księcia d'Aosta. Facta poddał się do dymisji, a Mussoliniego wezwano do Rzymu, by tworzył nowy rząd. Swoją „marsz na Rzym” odbywał Mussolini w wagonie sypialnym.

Ku ogólnemu zdumieniu Mussolini stworzył gabinet koalicyjny, w którym sam był premierem, ministrem spraw zagranicznych i spraw wewnętrznych. Powiedział, że szereg komplementów pod adresem monarchii i dał do zrozumienia Kościołowi, za pomocą zręcznych robionych aluzji, że nie ma powodów do obaw. Ale pozornie krocząc utartym, konwencjonalnym szlakiem, Mussolini starał się utrwalić swą władzę przez przekształcenie swych nielegalnych uzbrojonych bojówek w legalną milicję faszystowską. Bezustannie podkreślał konieczność wprowadzenia dyscypliny we Włoszech, ale otwarcie tolerował liczne akty gwałtu, popełniane przez swoich ludzi, i nawet namawiał ich do tego. Brał udział w zebraniach Ligi Narodów, wobec czego rząd szwajcarski taktownie wymazał jego nazwisko z czarnej listy, na której przed 17 laty umieszczone zostało wskutek kilkakrotnego przymusowego opuszczania poszczególnych kantonów. Okupacja wyspy Korfu przez Mussoliniego w r. 1923, będąca odwetem za zamordowanie włoskich członków komisji granicznej na granicy grecko-albańskiej, niezbicie wykazała, iż gangster zmienił tylko strój, ale nie zmienił metod...

Zamordowanie Matteotiego

Aż do r. 1924 istniała jeszcze opozycja we Włoszech. Jednym z jej najzdolniejszych przywódców był poseł socjalistyczny Giacomo Matteoti.

Dzięki swej szczerości i zdolnościom stał się wybitnym krytykiem rządu. Dnia 30 maja 1924 r. rozpoczął Matteoti w parlamencie kampanię, mającą na celu ujawnienie korupcji finansowej reżimu oraz wykazanie zbytniej gwałtowności metod faszystowskich przy wyborach. Gdy wyszedł po tym przemówieniu z parlamentu i pospóźnie opozycji zebrał się dokoła niego, by mu powinszować, powiedział: „A teraz, kolezdy, możecie przygotować dla mnie mowę pogrzebową”. Matteoti nie żartował. 10 czerwca pięciu ludzi przewróciło go na ulicy Rzymu, zabrało go do czekającego samochodu, zamordowało w drodze i ukryło jego ciało. Przywódcą morderstw był Amerigo Dumini, który w r. 1940 został schwytany przez Anglików, zajmujących Dniep. Po dokonaniu tego morderstwa Dumini pokłócił się z Mussolinim i nie omieszczał zrzucić odpowiedzialności za zbrodnię na Mussoliniego.

Morderstwo to napełniło zgrozą całe Włochy i wstrząsnęło całym ustrojem faszystowskim. Mussolini stracił panowanie nad sobą. W pierwszej chwili oświadczył, że Matteoti żyje. Później starał się zrzucić odpowiedzialność na tych przywódców faszystowskich, którzy mieli z tym związkiem, i obiecał, że pełna sprawiedliwość dosięgnie winowajców. Przywódcy faszystowscy, dotknięci takim postawieniem sprawy, próbowali ocalić siebie, kompromitując Mussoliniego. W prasie poczęła ukazywać się istna powódź rewelacyjnych szczegółów o ustroju faszystowskim i dokonanych bezprawach. Mussolini odparł tą samą monetą i przez długi okres czasu nie było jednej osoby spośród faszystów, która by nie była zamieszana w jakiś skandal.

Faszystów stał się wówczas zupełnie niepopularny we Włoszech. Co więcej, narodził się w tym czasie ideał „człowieka” — jak mawiał plebs w starożytnym Rzymie.

Nad sytuacją zapanował wreszcie człowiek, który wiedział, jak należy postępować z całkowitą bezwzględnością: Roberto Farinacci. Nie odczuwał on żadnego ze skrupułów Mussoliniego; według niego nie należało zaniechać metod faszystowskich, ale przeciwnie, stosować je z większą jeszcze siłą. Gdy obrano go na stanowisko sekretarza partii, wzmożł się niesłychanie terror przeciwko oponentom faszystów.

Pomoc przyszła także z nieoczekiwanej strony. W Wielkiej Brytanii rząd labourystów został obalony, a nowy minister spraw zagranicznych, Austen Chamberlain, pragnąc utrzymać dobre stosunki z Włochami i nie będąc dostatecznie poinformowany o sprawach wewnętrznych tego kraju, gotów był traktować morderstwo Matteotiego jako sprawę czysto lokalną. Chamberlain udał się do Rzymu na konferencję z Mussolinim, co ogromnie przyczyniło się do wzrostu prestiżu Mussoliniego, który znowu nabrał wiary w siebie i 3 stycznia oświadczył w Parlamencie:

„Ja, i tylko ja przyjmuję polityczną, moralną i historyczną odpowiedzialność za wszystko, co się stało”.

AKTUALIA WŁOSKIE

Wynurzenia księcia Humberta

Bejrucki „Le Jour” z dn. 27 maja br. przynosi ciekawą korespondencję przedstawiciela francuskiej agencji telegraficznej w Neapolu, p. Edmond Brua, o niezwyklej oświadczeniu księcia Humberta i następstwach, jakie jego zwierzenia wywołały:

„Król Włoch nie mógł uczynić mniej, niż wypowiedzieć wojnę Francji i Anglii” — powiedział ostatnio książę Humbert. — „W przeciwnym razie Mussolini pchnąłby Niemców na Włochy, jak to uczynił we wrześniu 1943 r. Naród włoski musi się naprzód nauczyć chodzić, zanim Alianci zobaczą jak biegnie”.

[Dawanie narodowi włoskiemu wolności myśli i słowa nie jest rozsądnym po 20 latach ucisku — ciągnął ks. Humbert dalej. — Więcej jest wart aliancki rząd wojskowy albo silniejszy rząd włoski. Koniecznym jest wreszcie, by jeńcy włoscy powrócili do kraju, ale szczególnie wrócić muszą carabinieri celem utrzymania porządku”.

Oświadczenie to, co najmniej dziwne, posiada wyjątkową doniosłość wobec uwolnienia Rzymu i abdykacji króla Wiktora Emanuela na rzecz syna. To też wywołało ono taki efekt, jak bomba ciężkiego kalibru, chociaż dziwnym jest, że prasa słabiej na nie zareagowała.

Podczas gdy partia socjalistyczna, partia liberalna, a przede wszystkim partia akcji wydają się czynić największe wysiłki celem wykorzystania incydentu i doprowadzenia go do skrajnych konsekwencji politycznych, chrześcijańscy demokraci, znajdujący się na skrajnej prawicy w koalicji, oraz komuniści zachowują się tak, jakby nic w ogóle nie zaszło.

Rada ministrów uchwaliła jednomyślnie protest, przypominając, iż nie leży w zwyczajach konstytucyjnych i demokratycznych, by przedstawiciel korony składał deklaracje polityczne, nie zgodne ze stanowiskiem rządu, oraz odrzucała wszelkie, kierowane przeciw narodowi włoskiemu, zarzuty wojny faszystowskiej.

Ciekawą jest w związku z tym deklaracja Benedita Croce, który oświadczył:

„Książę zrzuca na naród swe własne winy i błędy, co nie wydaje mi się zgodne z jego godnością. Jako stary monarchista odczuwam to bardzo boleśnie, widząc jak sami monarchowie pracują nad zniszczeniem idei monarchicznej, i stawiam sobie pytanie, czy nie jest to dopełnieniem wyroków historii”.

Ton groźnego proroctwa, zawarty w tej deklaracji, pozwala przewidywać nową walkę o tron w chwili wkroczenia do Rzymu. Powstaje pytanie, czy konflikt ten nie został świadomie rozdmuchany przez zwolenników Wiktora Emanuela; naprawdę trudno uwierzyć, by książę Humbert, który żadnych deklaracji nigdy nie składał i uchodził za człowieka przetrętego, przemawiał w sposób tak twardy tuż przed zastąpieniem swego ojca w rozstrzygającej bitwie o utrzymanie domu Sabaudzkiego.

Intelektualsi włoscy porzucają obóz Mussoliniego

Mediolańska faszystowska „Sera” z dn. 4 kwietnia br. pisze o dezercji kół intelektualnych z obozu neo-faszystowskiego:

„Z latarnią Diogenesa w ręku idziemy na poszukiwanie kultury włoskiej, ścigając głupich dudków i partyzantów Tita na półwyspie”.

Instytuty i akademie włoskie od długiego już czasu nie wykazują żadnej działalności; skończył się Instytut Afryki Włoskiej, Centrum Studiów Śródziemnomorskich i Instytut Orientalny. Czy widzieliśmy w ostatnich latach jakiegokolwiek publikację włoskie o wartości międzynarodowej? A co powiedzieć o Instytucie Studiów Rzymskich, który, zrodzony w cieniu uniwersalnych wartości tradycji rzymskich, obecnie jest nieomal zmuszony uciec się pod opiekę świętej matki — Kościoła? ...Nie”.

I ludzie najinteligentniejsi w narodzie mają rację, mówiąc, że reżim faszystowski jest niczym więcej, jak chodzącym trupem, nie podtrzymywanym przez żadną siłę materialną ani duchową.

¹⁾ Fragment z broszury „Kim jest Mussolini”, która ukaże się w najbliższej przyszłości nakładem Wydawnictwa „W Drodze”, w autoryzowanym przekładzie Henryki Bochenkowej, jako jeden z pierwszych zeszytów w polskiej serii przekładów „Oxford Pamphlets”.



Polacy w podziemiach klasztoru

Trzy szklanecki wina stoją przygotowane na stole. Porucznik S., szef Kwatery Prasowej, kładzie okulary i zapisuje w swym historycznym notiesie: „Pierwszy wyjazd korespondentów Korpusu na odcinek Monte Cassino”. Podnosimy szklanecki do ust, telefon dzwoni gorączkowo, żął warczy. Po chwili Kwatery Prasowa niktne za nami w tumanie kurzu.

Ciepły, wiosenny wieczór. Całodzienna kanonada, jak daleka partia krokietu, milenie i na pewien czas ustaje. Ostry pasaż się w skupieniu na łkach ostów, wyrastających, jakby się wydawało, prosto ze skał. Przed nami mgła zasłon dymnych osnuwa w pastelowy zmierzch poszarpane wojną małe miasteczko. Kredowy pył pudruje znuzeniem obojętnych Wochoń, zajętych pieleniem sałaty. Patrzę bez zainteresowania na wspinającą się w oddali kolumnę ciężkich czołgów. Wysoko nad nami przelatuje niewielki samolot.

Przejeżdżamy pierwszy znak ostrzegawczy, żółtą tablicę z napisem: „Uwaga, droga pod obserwacją nieprzyjaciela”. Nakładamy hełmy. Łazik, tułac po sobie szybko, przyspiesza tempo. Szybko zapada zmierzch. Zwoje drutów, kabli i przewodników: „babie lato” łączności, coraz gęściej oplata przydrożne krzaki i drzewa.

Jest godzina 19.30. Podjeżdżamy do punktu, skąd do pierwszych linii odchodzi konwoje z zaopatrzeniem. Transport odbywa się na mulach. Oliwkowi Cyprioni, stanowiący najdzielniejszą kompanię przewodników muiów we Włoszech, żują powoli prymkę, spluwając ze spokojem przed siebie. Podobnie jak górnicy, są oni pozbawieni możliwości palenia podczas pracy. Ograniczają się do zucia tytoniu, podczas gdy ich muły skubią w milczeniu trawę. Za chwilę muzy zostaną objuczone skrzynkami amunicji, beefem, natą, wodą, a nawet gazetami, których podobno także potrzeba na froncie. My tymczasem idziemy na kieliszek whisky do porucznika B., jednego z „zawiadawców” tego dziwnego dworca nocnej przystanku, w którym koncentruje się cały ruch, prowadzący do pierwszej linii. Fanujące tu wielkie ożywienie ludzi, jeżdżów, muiów i ciężarówek jest zresztą zupełnie bezgłośnie. Bańki, skrzynki, beczki i puszki wędrują z rąk do rąk w absolutnej ciszy. Wydawałoby się, że nawet silniksi sześciokotowych Dodge'ów pracują szeptem w zielonym świetle księżyca.

Wysoki kapitan angielski, oparty na grubej, bambusowej lasce, popija whisky i cicho są ewakuowani przez czterech sanitariuszy, sztafeta. Obsługa jednego punktu sanitarnego odnosi nosze do następnego, poczem wraca, a następną obsługą idzie dalej, i tak przez całą drogę.

Wszystkiego tego dowiadujemy się jeszcze na dole od uprzejmego porucznika regulującego ruch. Droga pod górę jest istotnie ciężka. Pot leje się ze mnie już na pierwszym zakręcie, zapach zabitych muiów zatyka nozdrza, rzemień plecaka nieznosnie uciska ramiona.

Wysoki kapitan angielski, oparty na grubej, bambusowej lasce, popija whisky i cicho są ewakuowani przez czterech sanitariuszy, sztafeta. Obsługa jednego punktu sanitarnego odnosi nosze do następnego, poczem wraca, a następną obsługą idzie dalej, i tak przez całą drogę.

Wszystkiego tego dowiadujemy się jeszcze na dole od uprzejmego porucznika regulującego ruch. Droga pod górę jest istotnie ciężka. Pot leje się ze mnie już na pierwszym zakręcie, zapach zabitych muiów zatyka nozdrza, rzemień plecaka nieznosnie uciska ramiona.

Wysoki kapitan angielski, oparty na grubej, bambusowej lasce, popija whisky i cicho są ewakuowani przez czterech sanitariuszy, sztafeta. Obsługa jednego punktu sanitarnego odnosi nosze do następnego, poczem wraca, a następną obsługą idzie dalej, i tak przez całą drogę.

Wszystkiego tego dowiadujemy się jeszcze na dole od uprzejmego porucznika regulującego ruch. Droga pod górę jest istotnie ciężka. Pot leje się ze mnie już na pierwszym zakręcie, zapach zabitych muiów zatyka nozdrza, rzemień plecaka nieznosnie uciska ramiona.

Wysoki kapitan angielski, oparty na grubej, bambusowej lasce, popija whisky i cicho są ewakuowani przez czterech sanitariuszy, sztafeta. Obsługa jednego punktu sanitarnego odnosi nosze do następnego, poczem wraca, a następną obsługą idzie dalej, i tak przez całą drogę.

Wszystkiego tego dowiadujemy się jeszcze na dole od uprzejmego porucznika regulującego ruch. Droga pod górę jest istotnie ciężka. Pot leje się ze mnie już na pierwszym zakręcie, zapach zabitych muiów zatyka nozdrza, rzemień plecaka nieznosnie uciska ramiona.

Wysoki kapitan angielski, oparty na grubej, bambusowej lasce, popija whisky i cicho są ewakuowani przez czterech sanitariuszy, sztafeta. Obsługa jednego punktu sanitarnego odnosi nosze do następnego, poczem wraca, a następną obsługą idzie dalej, i tak przez całą drogę.

Wszystkiego tego dowiadujemy się jeszcze na dole od uprzejmego porucznika regulującego ruch. Droga pod górę jest istotnie ciężka. Pot leje się ze mnie już na pierwszym zakręcie, zapach zabitych muiów zatyka nozdrza, rzemień plecaka nieznosnie uciska ramiona.

Wysoki kapitan angielski, oparty na grubej, bambusowej lasce, popija whisky i cicho są ewakuowani przez czterech sanitariuszy, sztafeta. Obsługa jednego punktu sanitarnego odnosi nosze do następnego, poczem wraca, a następną obsługą idzie dalej, i tak przez całą drogę.

Wszystkiego tego dowiadujemy się jeszcze na dole od uprzejmego porucznika regulującego ruch. Droga pod górę jest istotnie ciężka. Pot leje się ze mnie już na pierwszym zakręcie, zapach zabitych muiów zatyka nozdrza, rzemień plecaka nieznosnie uciska ramiona.

Wysoki kapitan angielski, oparty na grubej, bambusowej lasce, popija whisky i cicho są ewakuowani przez czterech sanitariuszy, sztafeta. Obsługa jednego punktu sanitarnego odnosi nosze do następnego, poczem wraca, a następną obsługą idzie dalej, i tak przez całą drogę.

Wszystkiego tego dowiadujemy się jeszcze na dole od uprzejmego porucznika regulującego ruch. Droga pod górę jest istotnie ciężka. Pot leje się ze mnie już na pierwszym zakręcie, zapach zabitych muiów zatyka nozdrza, rzemień plecaka nieznosnie uciska ramiona.

Wysoki kapitan angielski, oparty na grubej, bambusowej lasce, popija whisky i cicho są ewakuowani przez czterech sanitariuszy, sztafeta. Obsługa jednego punktu sanitarnego odnosi nosze do następnego, poczem wraca, a następną obsługą idzie dalej, i tak przez całą drogę.

Wszystkiego tego dowiadujemy się jeszcze na dole od uprzejmego porucznika regulującego ruch. Droga pod górę jest istotnie ciężka. Pot leje się ze mnie już na pierwszym zakręcie, zapach zabitych muiów zatyka nozdrza, rzemień plecaka nieznosnie uciska ramiona.

Wysoki kapitan angielski, oparty na grubej, bambusowej lasce, popija whisky i cicho są ewakuowani przez czterech sanitariuszy, sztafeta. Obsługa jednego punktu sanitarnego odnosi nosze do następnego, poczem wraca, a następną obsługą idzie dalej, i tak przez całą drogę.

Wszystkiego tego dowiadujemy się jeszcze na dole od uprzejmego porucznika regulującego ruch. Droga pod górę jest istotnie ciężka. Pot leje się ze mnie już na pierwszym zakręcie, zapach zabitych muiów zatyka nozdrza, rzemień plecaka nieznosnie uciska ramiona.

Wysoki kapitan angielski, oparty na grubej, bambusowej lasce, popija whisky i cicho są ewakuowani przez czterech sanitariuszy, sztafeta. Obsługa jednego punktu sanitarnego odnosi nosze do następnego, poczem wraca, a następną obsługą idzie dalej, i tak przez całą drogę.

Wszystkiego tego dowiadujemy się jeszcze na dole od uprzejmego porucznika regulującego ruch. Droga pod górę jest istotnie ciężka. Pot leje się ze mnie już na pierwszym zakręcie, zapach zabitych muiów zatyka nozdrza, rzemień plecaka nieznosnie uciska ramiona.

Wysoki kapitan angielski, oparty na grubej, bambusowej lasce, popija whisky i cicho są ewakuowani przez czterech sanitariuszy, sztafeta. Obsługa jednego punktu sanitarnego odnosi nosze do następnego, poczem wraca, a następną obsługą idzie dalej, i tak przez całą drogę.

STANISŁAW NATANSON

NA POZYCJI POD MONTE CASSINO

ścieżkach, tonących w zapachu glicynii. Drogę wyznacza siatka druciana, rozpięta na lesnych mechach, porośla bluszczem. Łagodna, majowa noc. Przed nami, daleko ponad skałę, przebiega krótki błysk. Chwila ciszy, a potem echo niesie po górach głuchy pomruk dział. Nagle w nos bije nas powiew padliny. Niepogrzebany muł gnije z zadartym o kamień ibem na zakręcie drogi. Patrzę na zegarek. Jest godzina 21.35. Od tej chwili będziemy już stale w obliczu pełnej grozy wojennej.

Rozpoczyna się teraz obustronny ogień artylerii. Czasem słychać świst pocisku, czasem wycie moździerzowego granatu. Niekiedy wybuchy są tak blisko, że podmuch guszy huk detonacji. Łazik rozpęda się na kawałki równiejszej szosy i raptownie staje przy kamienistym dróżce, prowadzącej do dowództwa brygady. Drożka ta jest często pod ogniem niemieckich moździerzy. Stroma, wąska i kręta. Tędy idą kolumny mułów, tędy sanitariusze znoszą rannych. Co paręset metrów biała flaga z czerwonym krzyżem wskazuje miejsce, w którym znajduje się punkt sanitarny. Przez całą noc sanitariusze bezustannie patrolują ten odcinek, tu bowiem



Polscy pelociarze na stanowisku

w czasie transportu zaopatrzenia ponosimy często duże straty. W dzień owa drożka widoczna jest jak na dłoni z nieprzyjacielskich punktów obserwacyjnych. Wtedy ruch zamiera zupełnie. W ciemności bezpieczeństwo jest zresztą też bardzo problematyczne. Niemcy strzelają na ślepo. Czasem parę pocisków rozbiła całą kolumnę. Muły rozbiegają się wtedy przerażone i setki skrzynek amunicji i żywności ginie w załamkach skał. Ranni



Północna ściana klasztoru

sa ewakuowani przez czterech sanitariuszy, sztafeta. Obsługa jednego punktu sanitarnego odnosi nosze do następnego, poczem wraca, a następną obsługą idzie dalej, i tak przez całą drogę.

Wszystkiego tego dowiadujemy się jeszcze na dole od uprzejmego porucznika regulującego ruch. Droga pod górę jest istotnie ciężka. Pot leje się ze mnie już na pierwszym zakręcie, zapach zabitych muiów zatyka nozdrza, rzemień plecaka nieznosnie uciska ramiona.

Wysoki kapitan angielski, oparty na grubej, bambusowej lasce, popija whisky i cicho są ewakuowani przez czterech sanitariuszy, sztafeta. Obsługa jednego punktu sanitarnego odnosi nosze do następnego, poczem wraca, a następną obsługą idzie dalej, i tak przez całą drogę.

Wszystkiego tego dowiadujemy się jeszcze na dole od uprzejmego porucznika regulującego ruch. Droga pod górę jest istotnie ciężka. Pot leje się ze mnie już na pierwszym zakręcie, zapach zabitych muiów zatyka nozdrza, rzemień plecaka nieznosnie uciska ramiona.

Wysoki kapitan angielski, oparty na grubej, bambusowej lasce, popija whisky i cicho są ewakuowani przez czterech sanitariuszy, sztafeta. Obsługa jednego punktu sanitarnego odnosi nosze do następnego, poczem wraca, a następną obsługą idzie dalej, i tak przez całą drogę.

Wszystkiego tego dowiadujemy się jeszcze na dole od uprzejmego porucznika regulującego ruch. Droga pod górę jest istotnie ciężka. Pot leje się ze mnie już na pierwszym zakręcie, zapach zabitych muiów zatyka nozdrza, rzemień plecaka nieznosnie uciska ramiona.

Wysoki kapitan angielski, oparty na grubej, bambusowej lasce, popija whisky i cicho są ewakuowani przez czterech sanitariuszy, sztafeta. Obsługa jednego punktu sanitarnego odnosi nosze do następnego, poczem wraca, a następną obsługą idzie dalej, i tak przez całą drogę.

Wszystkiego tego dowiadujemy się jeszcze na dole od uprzejmego porucznika regulującego ruch. Droga pod górę jest istotnie ciężka. Pot leje się ze mnie już na pierwszym zakręcie, zapach zabitych muiów zatyka nozdrza, rzemień plecaka nieznosnie uciska ramiona.

Wysoki kapitan angielski, oparty na grubej, bambusowej lasce, popija whisky i cicho są ewakuowani przez czterech sanitariuszy, sztafeta. Obsługa jednego punktu sanitarnego odnosi nosze do następnego, poczem wraca, a następną obsługą idzie dalej, i tak przez całą drogę.

Wszystkiego tego dowiadujemy się jeszcze na dole od uprzejmego porucznika regulującego ruch. Droga pod górę jest istotnie ciężka. Pot leje się ze mnie już na pierwszym zakręcie, zapach zabitych muiów zatyka nozdrza, rzemień plecaka nieznosnie uciska ramiona.

Wysoki kapitan angielski, oparty na grubej, bambusowej lasce, popija whisky i cicho są ewakuowani przez czterech sanitariuszy, sztafeta. Obsługa jednego punktu sanitarnego odnosi nosze do następnego, poczem wraca, a następną obsługą idzie dalej, i tak przez całą drogę.

dunki telefoniczne w żółtym świetle małej lampy naftowej: „Damazy, Damazy, wyzywa Karola, czujka nieprzyjacielska podeszła... rzucili granat... koniec. Bazyli, śledzie nie przyszy, przysyłajcie witaminy, koniec” ... Dusšno jest wśród worków z piaskiem w tym mrocznym schronie. Jak w kopalni węgla. Dolatują nas niedalekie wybuchy. Kūrz sypie się z góry po każdym mocniejszym wstrząsie. Podają herbatę. Kapitan P. uśmiecha się i wskazuje na rozłożone zdjęcia lotnicze terenu, objaśnia położenie nieprzyjaciela. Jak inżynier górniczy z planami pokładu w przebitce sztygarów. Uderza mnie trudna do oddania atmosfera przemysłowej dyscypliny, jaka tu panuje. Dekoracje w stylu „kresu wędrowki”, istotna treść — wyłożona, precyzyjna praca.

Zza koca, zasłaniającego wejście, wytnia się zakurzony podpułkownik i skarzy się na to, że już piąty worek z piaskiem spada mu na głowę tej nocy. Seria pocisków artyleryjskich trafiała przed chwilą w pobliskie zwaliska niedużego domku, powodując lokalne trzęsienie ziemi. Wtajemniczeni przez kapitana P. w ogólne zarysy sytuacji, pokrepieni herbatą i stremowani upartym spadaniem worków z piaskiem, wydostajemy się na powietrze poprzez szereg zasłon, zrobionych z koców.

Idziemy wzdłuż wytyczonej ścieżki, trzymając jąj się wprost kurczowo i przebiegając

KAROL KLESZCZYŃSKI

Dzieje jednej szarży ułańskiej

19 maja 1944 r. Wstaje dzień. Na wypad idzie szwadron rotmistrza Str. S.

— Wzgórze 893, jako kluczowe w pozycji Passu Corno, zdobył. W wypadku stwierdzenia słabego oporu, zająć Passu Corno... — brzmi rozkaz.

Według oceny, nieprzyjaciel miał pozostawić na Monte Cairo i Passu Corno drobne elementy.

W szwadronie panuje gorączkowe ożywienie. Ostatnie przygotowania. Amunicja, granaty, broń... Dowódcy zaznajamiają ułanów z zadaniem.

Wschodzące słońce zakrywają dymy. Zadymony jest cały teren.

W dymnej zasłonie plutony szwadronu przeuszają się w rejon stanowisk najbardziej wysuniętych do przodu.

O godzinie 13.30 wyrusza szwadron w kierunku przedmiotu natarcia.

Ugrupowanie: rotmistrz Str. i ppor. M. wraz z poczetem na czele, następnie rozwinęty pluton wsparcia, pluton pierwszy. Reszta za nimi. Ppor. K. jako ubezpieczenie lewego skrzydła.

Droga idzie zbieżcem Castellone, prawie prostopadłe wpadającym w głęboki jar. Ułani drapią się stromą, kamienistą ścieżką.

Groźnie zawieszony nad Castellone masyw ogromnego Cairu zaczyna swą pieśń. Dąży jest ona wyjątkowo potężna. Wął ze wszystkich stanowisk. Wali cięża artyleria i moździerze. Prawdopodobnie zauważyli ruch na przeciwstoku.

Zaledwie w 10 minut od podstawy wyjściowej ułani otrzymują piekielną porcję niemieckich kaemów. Biją i moździerze. Ogień przybiera na sile.

Czyżby zaporowy?... Strzelają ze wszystkich prawie stron. Z masywny Cairu ogniem bocznym, czołowym z Passu Corno i z 893.

Na czołe nacierających żmudnie pracują pułkowi pionierzy, rozminowują drogę. Ogień niemiecki nie słabnie. Szwadron przediera się przez teren mocno zakrzaczony. Gałęzie drąg kombinowane. Droga staje się coraz cięższa. Jest coraz stronięj.

Ułani nacierają na 720, 726. Mocniej ścisnął tomiągany. Jeszcze kilka skoków. Teren usłany gwałami. Skończyły się krzaki. Niemcy biją bez przerwy.

Padają niemieckie bunkry pod uderzeniem Ułanów. Są pierwsi Jeńcy.

— 720... — zdobyte...

— 726 — padło... — lecą meldunki do dowódcy Pułku.

Nie ma czasu na wytchnienie. Jest godzina 15.30.

Nowe rozkazy. Szwadron rusza do natarcia na wzgórze 893.

Zrywa się potworny ogień. Szwadron zdobywa wściekłym wysiłkiem taras za tarasem w tym skalistym terenie. Zdobywa pionowe ściany, do 3 metrów wysokie. Trzeba się piąć na linach. Na linach idzie amunicja. Poletka tarasów zaminowane, pełne niemieckich pułapek.

Wysiłek żołnierza jest ogromny. Co chwila ktoś mdleje. Ratują ich ostatnie krople



Pobojowisko

myślą wszystkie tyle razy powtarzane straszne historie o minach. Straciłszy już właściwie wszelką orientację co do tego, które strzaży pochodzą od naszych dział, a które od niemieckich. Na wszelki wypadek „kianamy” się co chwila, aż wreszcie dochodzą

do przekonania, że to i tak nie nie pomoże, i dalej idę naumyślnie prosty i uszytniony. Mijamy oliwkowy las, stok góry staje się coraz bardziej stromy i wreszcie po paru zakosach wyostajemy się na wolną przestrzeń. Przed nami w odległości kilkuset metrów bie-

szczytu wzgórze daje ostatnie namaszczenia. Młody ułan patrzy na kapelana z uśmiechem. Cichym głosem mówi:

— Wykruszyłem się...

— A może jeszcze wróć... — pyta się z nadzieją — mam jeszcze pomścić dwóch braci zamordowanych... — Nie dokonczył.

Tuż obok przebiega kpr. M. z innego szwadronu. Dopiero co wrócił z patrolu. Zgłosił się dozwolnie.

Kapelan, widząc jego zmęczenie, próbuje go zatrzymać.

— Księżu! nie wytrzymam.

Pognał w wir walki. Nie wrócił. Padł jak wielu jego kolegów.

Po półgodzinnej bezlitosnej walce 893 zostaje zdobyte.

Krótkie rozkazy rotmistrza. Następuje konsolidacja wzgórze.

— Pluton kaemów, zamknąć siodło na 912 z kierunku zachodniego i wschodniego.

Pluton wykonuje zadanie. Nasila się ogień niemieckich dział i moździerzy. Godzina 16.20. Pociski trafiają w radiostację. Ginie wachmistrz M. Ginie podchorąży Z., dzielny obserwator artyleryjski. Już nie będzie krzyczeń w mikrofon:

— Kośba w prawo... schody w lewo... od prawego baterię...

— Tu... — nie kończy meldunku radio-operator, starszy ułan L. Trafiony pociskiem, umiera, kurczowo trzymając za pas od radiostacji. Pada i ułan B.

Za chwilę i telefon zostaje rozbity. Pocisk rozrywa zalogę.

Jakby na zamówienie wszystkie elementy łączności zostają zniszczone. Rotmistrz pozbawiony jest komunikacji z dowództwem... Sam unika cudem śmierci. Ogień stale się zwiększa. Siękają niemieckie kaemy. Natarcie szwadronu idzie na wzgórze 912.

Rozpoczyna się nowa wspinaczka pod nieustającym ogniem. Rażą i rekoszety.

Tymczasem na tyłach wre praca. Cały pułk, kto tylko żyje i kto może rusza pomóc kolegom. Podnoszą amunicję walczącym. Znoszą rannych. 700 metrów różnicy w terenie, to niebywały wysiłek. Noszowi mdleją przy rannych.

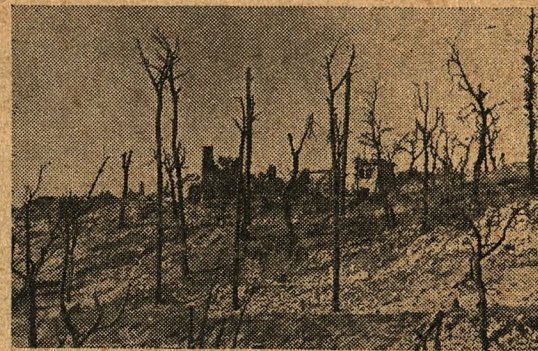


Gen. Leese i gen. Anders

leje w świetle księżyca kredowa skała, na której wznosi się klasztor Monte Cassino. Jakby domek z klocków, rozrzucony jednym uderzeniem ręki niegrzecznego chłopca, któremu zdruzdża się zabawa w budowniczego.

Przez chwilę stoimy w milczeniu i patrzymy. Pomyśleć, że te trochę kamieni organizuje w uporządkowany wysiłek setki tysięcy ludzi w pięciu częściach świata. Podobnie jak turyści pod Piramidami, nie znajdujemy żadnych ciekawych refleksji w naszych wyłożonych w tym kierunku mózgach. Od dalszych uśtoowań zbawia nas, na szczęście, zdrowy i mocny strach, który każe mi jak najszybciej szukać ukrycia. Jesteśmy na „linii”. Wśród paru skał, przykrytych celtą, workiem i kamieniami, układamy się w podwójny zygzak, obwijając się w dwa zaplesniacie koca. O parę metrów na prawo straszliwie cuchnie trup żołnierza Hindusa, którego nogi sterczą ponad małą kupką kamieni. Z kilku zalezionych w pobliżu granatów, amerykańskiego buta i iopatki konstruuje sobie poduszkę. Po chwili, nie czekając na dalsze wrażenia, otwieramy plecak. Beef i suchary absorbują nas całkowicie przez co najmniej dziesięć minut. Przychodzi porucznik, dowódca plutonu, i szeptem opowiada nam o swoich przeżyciach. — „Niemcy są w odległości kilkudziesięciu metrów” — mówi. — „Stanowiska plutonu mogą być obłożone ogniem nieprzyjacielskim z trzech kierunków.

Zarówno w dzień, jak i w nocy, obowiązuje wszystkich absolutna cisza. Można porozumiewać się jedynie szeptem, wszyscy chodzą w gumowych pantoflach. W ciągu dnia cały batalion tkwi w zupełnym bezruchu w swych składakach. Nie można wychylić nawet głowy, z obawy sprowadzenia nawały ogniowej niemieckich moździerzy. W nocy przynoszą amunicję, żywność i wodę. Jedzenie jest tylko zimne. O myciu lub goleniu nie ma co marzyć. Brak wody. — Porucznik mówi szeptem skulony u wejścia do naszego schronu. Spoza kłębowaśka świstów, wybuchów i gwizdów dołatuje nas rechot żab. Po chwili odróżniam słowa. Słyszę majowy śpiew, a w dali armatnie organy. W poświęcie księżycu ukazuje się szef plutonu. Zbliża się do nas ostrożnie i podaje porucznikowi mały ceglasty krążek, znak tożsamości poległego przed chwilą podchorążego K. — „Miał osiemnaście lat” — mówi cichym głosem. — „Najmłodszy żołnierz w batalionie.” — Porucznik wstaje. Zostajemy sami. Kanonada cichnie stopniowo. Nagle zapada cisza. Wychylamy głowy, zdziwieni i niespokojni. Pełzając po kamieniach ścieżce, docieramy do sąsiedniego składaka. Jest pusty. Wszyscy są teraz na stano-



Cassino

wiskach. W jednej ręce karabin, w drugiej granat. Mają rozkaz nie strzelać. Nie wolno zdradzić położenia. Tylko tkwić cicho w ciemnym stoku górskim i czekać. Spokojnie w bezruchu. I nadsłuchiwać. Każdy szmer, każdy szeleś jest ważny. Mimowoli my też uczulamy nasze uszy. Kamyk usuwa mi się spod buta i leci w dół ze straszliwym — w naszym przeważeniu — toskotem. Z trudem przełykam ślinę, czołgam się dalej.



Jeńcy

Paru strzelców pije herbatę. Racja wynosi pół manierki na dobę. Częstują nas. Odmaiwamy. Nalegają. — „Niech pan pije, panie poruczniku” — szeptać zarośnięty, krepk Karpatczyk. — „Wnet już półdziemy po piwo do Kasyna.” — We czwórce pakujemy się do dwuosobowego schronu. Plutonowi nie może zmieścić nóg i mówi — „Tak jak w Rosji, panie poruczniku”. — Palimy papierosy. Groza światła jest już niedaleko. Dzień nie ma tutaj historii. Tylko nocą budzi się akcja. Tylko nocą wyciągają się oczy Tylko w nocy

sie mniej wleczę. — „Wracać, wracać” — myślę w kółko. Znowu ratuje mnie Ryszard. Zaczyna opowiadać o Brackiej, Mazowieckiej, dziewczynkach w Simie i kolacji w Bristolu. Szepta mi wprost do ucha i łokciem opiera się na moim ramieniu. Słucham, słucham, zapominam o moździerzach i ścierpiętej nodze. Zapada zmrok. Nie wychylamy się z naszego schronu, czekając posłusznie na porucznika. Zjawia się z menażką białej kawy.



Po boju

zaczyna się życie, nikną myśli, oczekiwanie, tęsknoty. Biegną słowa splecione w uśmiechu: — „Natarcie, klasztor Cassino.” — Nagle zjawia się porucznik i wypęda nas do „domu”. Dnie już i trzeba się ukryć zawczasu. Odpelzamy niechętnie. Zapalam ostatniego papierosa i prawie ze odrzutu zasypiam.

Budzę się po paru godzinach. Słońce stoi już wysoko. Przez otwór naszego składaka wpadają muchy. Brzęczą ociepałe i syte, sia-



Fragment zdobytego klasztoru

dają na twarzy i rękach, nie dają się odpedzić. Lewa noga ścierpa mi zupełnie, o zmianie położenia nie ma mowy. Próbuje się zejść, ale nie mogę, bo nie mam siły. Wreszcie, po długiej walce, udało mi się zejść. Wreszcie, po długiej walce, udało mi się zejść. Wreszcie, po długiej walce, udało mi się zejść.



Obraz Matki Boskiej na ruinach kościoła

się mniej wleczę. — „Wracać, wracać” — myślę w kółko. Znowu ratuje mnie Ryszard. Zaczyna opowiadać o Brackiej, Mazowieckiej, dziewczynkach w Simie i kolacji w Bristolu. Szepta mi wprost do ucha i łokciem opiera się na moim ramieniu. Słucham, słucham, zapominam o moździerzach i ścierpiętej nodze. Zapada zmrok. Nie wychylamy się z naszego schronu, czekając posłusznie na porucznika. Zjawia się z menażką białej kawy.

WŁADYSŁAW CHOMA

KARPACKIE GIMNAZJUM WE WŁOSZACH

Stare powiedzenie: „Nie ma nic nowego pod słońcem”, zaczyna powoli tracić na aktualności. Wiele zjawisk, obecnie spotykanych, tak znacznie różni się od tego, co było dawniej, że niektóre uznać musimy jako nowość, przedtem nie spotykaną.

W czasie pierwszej wojny światowej uczniowie szkół średnich, powołani do wojska, otrzymywali później urlopy i przyjeżdżali do szkół, gdzie po kilku tygodniach pracy składali egzaminy. A tymczasem w DSK przeprowadzono egzaminy na froncie. Tego przecież jeszcze nie było.



Dywizyjny kurs gimnazjalny DSK wieczorem przy nauce

Skąd to wszystko się wzięło? Mało kto wiedział, że po wielu staraniach zorganizowano w Dywizji Karpackiej Kurs Gimnazjalny dla tych żołnierzy-uczników, którym wojna przerwała normalne kształcenie się w gimnazjum.

Powstała szkoła z 292 uczniami i fachowymi nauczycielami. Zarówno jedni, jak i drudzy byli żołnierzami DSK. Nauka rozpoczęła się w Palestynie dnia 20 września 1943 r. Potem przeniesiono się do Egiptu, gdzie do dnia 9 grudnia 1943 prowadzono nadal wspólne nauczanie, które obiecywano sobie skończyć we Włoszech. To ostatnie nie udało się. Uczniowie Kursu, zaopatrzeni w najpotrzebniejsze podręczniki, odeszli do swoich oddziałów wojskowych i wkrótce znaleźli się na froncie.

W marcu i kwietniu 1944 r. na odcinku bojowym DSK przeprowadzono egzaminy, które odbyły się w kilku miejscowościach tak, aby żołnierze mogli przyjeżdżać tam codziennie z odcinka i tego samego dnia powrócić do swoich oddziałów.

Oryginalnie wyglądał samochód, na którym przez wiele dni wożono tablicę szkolną. Wśród kolumn amunicyjnych, ciągników i stanowisk artyleryjskich — tablica szkolna!

Z wielu oddziałów przyjeżdżali nauczyciele. Byli to żołnierze różnych stopni, od strzelca do kapitana włącznie. Komisję tę mianował Delegat Ministra W. R. i O. P. w Jerozolimie.

Egzaminy odbywały się w odległości kilku lub kilkunastu km od linii frontu w pomieszczeniach bardzo różnych. Egzaminowano w zrujnowanych domach, czasami w dobrane urządzonej świetlicy, na tarasach czy płaskich dachach domów, w ogródkach, w samochodzie, a nawet w kaplicy.

Uczniowie przyjeżdżali na egzamin w pełnym uzbrojeniu frontowym z karabinami, pistoletami, „Thompsonami”. Nierzadko uczeń był starszy stopniem wojskowym od nauczyciela. Siadali tedy na zaimprovizowanych stołkach i zaczynało się egzaminowanie. Przypominało to wielkanocną spowiedź z tą różnicą, że egzaminowany miał więcej niż jednego spowiednika.



Egzamin ustny kursu gimnazjalnego DSK we Włoszech w kwietniu r. b.

Nauczyciele i uczniowie przebyli ze sobą wspólnie trzy miesiące na kursie, byli dla siebie towarzyszami broni, znali się tedy doskonale i w następstwie tego wiązały ich stosunki bliższe, niż uczniów z nauczycielami w czasach pokojowych. Np. zasiada do egzaminu 18-letni Zbyszek, który jest kolegą 42-letniego nauczyciela. Tak, jest kolega. Byli przecież razem w Tobruku w jednej kompanii. Czy można się dziwić, że obecnie starszy kolega martwi się tym, iż jego młodszy towarzysz broni wykazywał więcej odwagi na froncie, niż pilności w szkole. Inni dwaj, to koledzy z tej samej kompanii na odcinku bojowym. Jeszcze inni są w tych samych dywizjonach artylerii, choć wielu znajomych z Kursu przebywa w różnych oddziałach.

Czy w takich warunkach można się dzi-

wić, że — szczególnie na początku egzaminu — słyszy się wiele pytań, pozornie nie związanych z tematem. Informują się wzajemnie, na którym odcinku przebywają, czy są często ostrzeliwani, czy i kiedy byli na patrolach, na jakiej wysokości znajdują się ich stanowiska bojowe i zaraz niecnota nauczyciel zapytuje, jak nazywamy taką wysokość — względną czy bezwzględną, czy w porównaniu z naszymi Karpatami lub Tatrami jest tam wyżej, jaka jest szata roślinna, a klimat i t. p.

Przy innym „stoliku” nauczyciel-historyk powiada: „Aha, Forli del Sannio. Ładna miejscowość, ale skąd wzięła się ta nazwa? Czy słyszałeś, kolego, o Samnitach? A potem o Kannach. Tak przeplatano pytania o warunkach bytowania z zagadnieniami, które winni byli uczniowie na tym poziomie przestudiować.

Zapewne były i takie wypadki, że uczniowie woleliby tego wszystkiego razem nie łączyć, na ogół jednak dobrze do egzaminu przygotowani, prowadzili nader zajmujące dyskusje.

Wzajemne poznanie się i obustronna sympatia sprawiły, że rozmowy prowadzone



Nabożeństwo pod piramidami

były w atmosferze swobody i szczerości ze strony uczniów, a życzliwości i wyrozumiałości za strony nauczycieli.

Tak należy rozumieć zdania, które słyszałyby obserwator. „A cóż, saperze, pracowity żołnierzu, kto ci tak głowę rozbił, że nosisz bandaż?” Młody chłopak o dość zmęczonej twarzy, z pokaleczonymi palcami, uśmiecha się i powiada:

— Mnie jeszcze jakoś uszło, ale kolega oberwał więcej. Jest teraz w szpitalu. Właśnie przedwczoraj wybuchła ta przekłeta mina. To było w rejonie San P. — Właściwie i Ty, kolego, nadajesz się więcej do szpitala, niż do egzaminu, — powiada nauczyciel.

— Może i prawda, lekarz chciał mię wyśłać, ale już składałem egzamin pisemny i wiedziałem, że dziś jest ustny. Uczyłem się i chciałbym wiedzieć, co umiem. Chętnie zrzucałbym te szmaty z głowy, aby nie sądzono, że odgrywam bohatera, ale jeszcze nie można, — tłumaczy saper.

Tak, miły chłopcze, uczyłeś się na pewno, to widać po twoich odpowiedziach, jako saper mogłeś to robić tylko po ciężkiej pracy fizycznej, i to w zupełności rozumiemy, a że choć poraniony, postanowiłeś zdawać egzamin, to jest dowodem, że z uporem dążysz do wytkniętego celu.

Czasem zdarzało się, że uczeń nie mógł dokończyć egzaminu. Np. dowiadujemy się, że kolega G., który złożył egzamin pisemny, przed kilku dniami, jako goniec motocyklowy, złamał nogę i obecnie przebywa w szpitalu.

W innej miejscowości składa egzamin z 4 kl. uczeń 22-letni. Wyraz twarzy zacięty, wzrok stanowczy, kilka wypowiedzianych zdań wskazuje, że pochodzi ze Śląska. Ten przeszedł wiele. Kolega ten, to żołnierz Afriki Korps. Przeszedł piekło Tunisu i tam przy pogromie armii Rommla zabrał go do niewoli. Bardzo szybko przeszedł całą kolejkę obozów i badań, aż dostał się do DSK. Nie opuścił sposobności, aby pójść do szkoły ukończył Kurs Gimnazjalny i znowu znalazł się na odcinku bojowym we Włoszech. Brał już udział w kilku patrolach.

Kolega Sk., lat 20, składa egzamin z klasy 3-ciej. Wygląda źle. Na jednym patrolu, gdzie zabito 5 Niemców, on zapłacił podwójną raną. Z pistoletu automatycznego przestrelano mu szyję i biodro. Bagatela. Ponieważ patrol sanitarny nie mógł dojść na miejsce wypadku z powodu ogromnych śniegów, biedak przy pomocy kolegów włókł się

nieprawdopodobną ilość km. Potem szpital. Teraz egzamin. Ranny był równo 40 dni temu. W tych warunkach mógł się jeszcze długo leczyć i przeprowadzać dodatkowe kuracje, ale śpieszno mu było do oddziału. Chciał też składać egzamin, choć w szpitalu książek nie miał i nie mógł się uczyć. Powoli przypomina sobie wiadomości z kursu, przeprasza, że nie umie wszystkiego, jakby chciał, ale po złożeniu egzaminu nie przestanie się uczyć, bo ma do tego ochotę. Nie mówi o swoich ranach ani wyczynach bojowych. Zapytywany, niechętnie o tym wspomina, pewnie jest, że nie zamierza tego „rozmienić na drobne”. Zdaje sobie sprawę z pewnych braków w zakresie wiadomości, ale nauczyciel może być pewny, że je wyrówna przy dalszej pracy.

Kolega St. wprost ze szpitala przyjechał na egzamin; kol. B. składa egzamin z zagipsowaną ręką.

Nie szukając łatwych efektów, powiemy, że chłopcy ci przyjeżdżali na egzaminy po powrocie z patroli i placówek. Czas między egzaminem pisemnym a ustnym spędzali na stanowiskach bojowych i nawet wtedy się uczyli.

którzy, przez cały dzień będąc na placówce, zabierali tam z sobą książkę i uczyli się.

Mieliśmy kilku wyróżniających się eksternistów, którzy na kursie gimnazjalnym nie byli, a w Polsce do gimnazjum nie uczęszczali. Jeden z nich ukończył w Polsce 7 kl. szkoły pow., przeszedł Rosję i teraz złożył z dobrym postępem egzamin z kl. 3-ciej. A inny plutonowy, który dawno przekroczył wiek najstarszego ucznia, uczył się prywatnie i złożył egzamin z zakresu 4 kl. z postępowym dobrym. Doraźnie nie było mu to potrzebne ani do zachowania tytułu, ani też

innych korzyści materialnych stąd nie osiągnął, a jednak się uczył. Ciekawsze było to, że nie otrzymawszy jeszcze świadectwa, pytał o podręczniki do liceum.

Zapewne każdy interesujący się tymi sprawami zapyta, jaki był ogólny poziom uczniów kursu i zakres ich wiadomości, w porównaniu z wymaganiami przedwojennymi.

Ilość wiadomości jest mniejsza, ale ich jakość jest bezwarunkowo lepsza. Wiele wiadomości zarówno z zakresu geografii, jak historii, fizyki czy biologii, przyswoili sobie uczniowie z bezpośrednich obserwacji, wiele rzeczy stanowi ich głębokie przeżycia. Umiejętność zastosowania posiadanych wiadomości w życiu praktycznym jest bez porównania większa. Zasady fizyki czy matematyki w ujęciu saperskiego czy artylerzysty to nie suche formuły książkowe, ale praca i życie.

To jest zupełnie zrozumiałe, bo przecież egzaminowani są nie tylko przynajmniej o cztery lata starsi od swych kolegów w normalnych warunkach, ale w ciągu tych kilku lat zwiedzili dosłownie pół świata i przeżyli tyle, że wystarczyłoby każdemu na napisanie zajmującej powieści. Wiele przeszli zarówno ci z Brygady, jak i ci, którzy potem przybyli z Rosji. A tych kilka miesięcy na froncie włoskim czyż nie dało im wiele sposobności nie tylko do licznych przygód, ale i do zastanawiania się nad wielu problemami, o których nie myślał przedwojenny uczeń gimnazjalny?

Język naszych uczniów różny jest od tego, którego używali uczniowie gimnazjalni w czasie pokoju. Pierwsze, co rzuca się w oczy, to nieco ograniczony zakres wyrazów. Mówią językiem prostym, bezpośrednim i na pewno nie salonowym, czasem nawet wplacze się wyraz lub zdanie, których przedtem nie słyszały oficjalne mury szkolne. Mowa ta bez kwiecistości ma jednak swój głęboki wyraz.

Kilka miesięcy pobytu na kursie przypominało uczniom niektóre metody pracy umysłowej. Potem uczyli się sami. Samouk w tym wieku jest zdolny do pokonania licznych trudności, których jako szesnasto czy siedemnastoletni chłopak nie potrafiłby przełamać. Możemy bez obawy twierdzić, że braki w zakresie ilości materiału nauczania uczniowie nasi wyrównali jego głębszym ujęciem.

Jakkolwiek Komisja egzaminacyjna uważała za dopuszczalne ograniczenie wymagań, to jednak uznawała granicę, której w dół nie wolno było przekroczyć. Wtedy mimo całej swojej sympatii dla zdającego i uwzględnienia trudnych warunków pracy, świadectwa ukończenia klasy uczniowi nie wydawano.

W sumie 247 (w tym kilku eksternistów) otrzymało świadectwa półroczna lub pełnych klas 2-giej, 3-ciej i 4-tej gimnazjum ogólnokształcącego.

Nie ulega wątpliwości, że sami uczniowie musieli mieć duże zadowolenie z pokonania



Ogłoszenie wyników egzaminu

trudności, z wykonanej pracy i nagrody w postaci uzyskanych wyników, ale na pewno nigdy nie zapomną dnia 22. kwietnia 1944 r., w którym nastąpiło uroczyste rozdanie świadectw. Uroczystość ta przypominała nam nasze zwyczaje szkolne, ale obecni tam byli też dowódca Dywizji i ks. bp. Gawlina, który odprawił nabożeństwo. Żołnierskie w swej prostocie, a głęboko ujęte słowa dowódcy Dywizji zapamiętają uczniowie na zawsze. Wszystko było wspaniałe. Nie dopisała tylko pogoda. Jak na złość, mżył drobny deszcz.

Po końcowym przemówieniu dowódcy Dywizji odśpiewano marsz Brygady Karpackiej i Hymn Państwowy. Tak w Europie zakończył się Kurs Gimnazjum DSK rozpoczęty w Azji i prowadzony w Afryce.

ZDZISŁAW BRONCEL

MIEDZY WRZESNIEM A MONTE CASSINO

Poezja powrzesniowa, chociaż wyniosła ją w górę fala wydarzeń, rozpoczętych kampanią 39-go roku, prawie że nie ośmiela się dotknąć tego tematu, który tak wiąże się z jej narodzinami. W powrzesniowej lirycy przeważają dwa zasadnicze nastroje: wspomnienie i nadzieja. Pierwsze szuka jasnych obrazów, chwil związanych ze szczęściem, drugie zaś stwarza wizję przyszłości poprzez idealizację przeszłości. Strata narodowa jest tak wielka, że wiersz, nawet u młodych, jak u Czechowiczówny, ogranicza się do jednego życzenia: „pozwól mi wrócić!”, a to jest równoznaczne z prośbą o powrót — do tego samego. Odnosi się wrażenie, jakby ludzie pragnęli jeszcze raz przeżyć swe wolne życie, jak gdyby mieli zbyt mało sił na budowanie od nowa, na wprowadzanie zmian. Kontrast późniejszej niedoli pomniejsza niedomaganie i brak rzeczy utraconych, przyczyniając się do zjawiska nie tylko osobliwego, ale poprostu niepokojącego: wstrząs tak silny, jak utrata całości kraju po istnieniu zaledwie 20-letnim, nie wywołał dostatecznie silnego i trwałego wstrząsu psychicznego. Nastroje rumuńskie i francuskie pierwszego okresu emigracji okazały się doraźnym narzekaniem, a nie zaczątkiem rewolucji w polskim sposobie myślenia. Przynajmniej zaś niewiele widać znaków tego w poezji, która u starszego pokolenia jest przeważnie sentymentalna, a u młodszego — przeważnie żołnierska, to znaczy grająca tylko pobudkę żołnierską.

Ale obok tej sentymentalnej, a więc nieprzemysłanej i mało odpowiedzialnej idealizacji przeszłości, obok niechęci do podejmowania tematów bolesnych, prawie że nie ma wśród współczesnego wiersza odczucia heroicznego strony wojny wrzesniowej. Podziw i uwielbienie Warszawy odzywa się u Stonimskiego, Wierzyńskiego w „Ziemie Wilczyce” sięga po historiozoficzny sens naszych zmagani, Pawlikowska przeżywa ludzki tragizm zjawiska wojny; odczucie Września zbliża się do przeżycia raczej kosmicznej katastrofy, jak o tym świadczy choćby „Słońce Września” Broniewskiego, niż walki, mającej zarówno swe blaski jak i cienie, i której wynik zależał nie tylko od układu losów, lecz i od nas samych. „Pieśń o Stefanie Starzyńskim” Lechonia jest bodaj jedynym utworem, zbliżającym się ku temu, czego możnaby oczekiwać od poezji. Liryka jednak nie jest do tego zdolna: liryka żyje teraźniejszością i żyje przeszłością, nie zamieniając przeszłości w teraźniejszość, nie ożywiając jej tak, jak to czyni epos.

Ten epicki obowiązek wobec Września spełnia częściowo proza. Mimo kilku zapowiedzi (Nowakowski, Zahorska) nie jest to jeszcze świadomie tworzona proza artystyczna. Jak dotąd, przybyszący jedynie pamiętniki, dokumentarne relacje, fragmentaryczne opowieści w rodzaju cyklu Wierzyńskiego „Pobojowiska”, pisane chyba w trosce, by utrwalić w słowie czyjś opowiadanie, epizod, który może zginąć i uszczuplić sceny owej niepospolitej narodowej tragedii, w której się zmagало poświęcenie z siebiepaństwem, kultu honoru z brakiem godności, świadomość misji historycznej z błędami politycznymi, gotowość moralna z nieprzygotowaniem materialnym. Jest to dopiero budulec przyszłej epopei, która wzniesie poezję czy prozę, ale już dzisiaj określają się jej przyszłe cechy: z tych kart wrzesniowej walki świecą prawdy, jakich potem nie przesłoni mgła oddalenia.

Dziwnego doznaje się wrażenia, gdy w południe bierze się do ręki gazetę z wiadomościami o krwawych polskich zwycięstwach pod Cassino, a wieczorem sięga się po książkę, opowiadającą o kilku tygodniach Września. Chociaż zmienił się teren walki, stopień zmortyzowania i uzbrojenia naszych dywizji, w żołnierzu ubranym w battle-dress poznaje się tego samego, który cienką linią piechoty przeciwstawiał się na Pomorzu atakowi czołgów, zmagając się z Niemcami pod Kutnem i przebiegał się do Warszawy.

Mimo innej formy i innego miejsca bitwy zbliżone są warunki moralne ataku, wykonywanego przeciw przeważającym siłom wówczas i dziś.

Kto potrafił we Wrześniu patrzeć trzeźwo, ten uświadamiał sobie, że Polska nie zdoła obronić swego zachodniego i — prawdopodobnie — centralnego terytorium wobec siły niemieckiej i okrażenia zarówno przez Prusy Wschodnie, jak i Słowację. Jedynym obszarem, na którym można było liczyć na dotrwanie do terminu przyobiecanej ofensywy francuskiej, były województwa wschodnie, stanowiące dla polskiej linii frontu zaplecze, niezbędne w nowoczesnej wojnie. Jeśli nie żołnierz, to w każdym bądź razie oficer, musiał wyczuwać konieczność odwrotu i złożenia ofiary, jaką jest oddanie wielkiej części kraju pod okupację. Liczebność armii niemieckiej była w dużej mierze publiczną tajemnicą i dysproporcja sił stawała się jasna. Nawet w wypadku walki równej liczby z równą oddział niemiecki bezapelacyjnie górował siłą w uzbrojeniu. Szwadron polski trafiając na szwadron niemiecki bił się w stu ludzi przeciw stu pięćdziesięciu, mając cztery jednostki broni maszynowej przeciw 27 u Niemców. Wojna w tych warunkach nie mogła iść ku zwycięskiej kampanii, ku bezpośredniemu szczęśliwemu wynikowi: była ona gestem politycznym, obliczo-

nym na późniejszy sukces polityczny. Wiemy wszyscy, jak wiele kosztował nas Wrzesień, naród zdecydował się na poniesienie tych ofiar, ażeby poprzez dotrzymanie danego słowa uzyskać niewzruszone prawo moralne do wypełnienia słowa aliantów.

Inne jest bohaterstwo żołnierza, widzącego przed sobą zwycięstwo, i poświęcenie żołnierza, mającego świadomość, że swoim życiem ocala, być może, życie swoich najbliższych; inną i nieporównanie wyższą moralnie jest jeszcze ta sfera bohaterstwa, w której żołnierz walczy ze świadomością bezsilności, nawet ze świadomością przegranej. W tradycyjnej frazeologii nazywa się to „walka dla honoru”, w sensie politycznym jest to pieczętowanie krwią praw do rekompensaty, do wymagania równego stosunku wszystkich stron do przyjętych zobowiązań. Kronika kampanii wrzesniowej zawiera takich przykładów bez liku. Żołnierz, mający do wyboru kapitulację lub śmierć w walce, wybierał walkę.

W pasji polskiego ataku na Monte Cassino, w tej nadwyżce ponad przeciętny wysiłek bojowy, tkwią elementy podobne do tych, które się objawiły w żołnierzu we Wrześniu. W stosunku do ogólnej ilości sił, zaangażowanych na frontach, wysiłki korpusu polskiego, znajdującego się obecnie we Włoszech, będą

w opowiadaniach takich, jak zbiór Zygmunta Szyszko-Bohusza: „Wrzesniowym szlakiem” (*). Niewielki ten tom daje w kilku scenach obraz losu grupy pomorskiej, walczącej najpierw z podwójnym naporem niemieckim: od zachodu i od Prus Wschodnich, następnie zaś osłaniającej ofiarne próbie przebicia się do Warszawy armii poznańskiej gen. Kutrzeby. Trudno nazwać nowelami owe opowiadania, o których autor sam mówi, iż są wiernym odbiciem zdarzeń; w których nie ma innej fabuły, ponad wplecioną przez same wypadki. Wypadki jednak były dostatecznie dramatyczne, by każdą z tych prostych relacji zamienić w przejmujący dokument.

O godz. 4-ej nad ranem, dn. 1 września, odezwały się pierwsze działa artylerii niemieckiej. 16-a pomorska dywizja piechoty obsadziła odcinek obronny, długości 60 km. Na rzetelne dozorowanie tak rozległego odcinka nie wystarczało oddziałów regularnych, posługiwano się więc częściowo Obroną Narodową. Wartość tych improwizowanych batalionów była w tym jaskrawszej dysproporcji do pancernych dywizji niemieckich. Dwa zasadnicze kierunki ewentualnego przenikania Niemców nie posiadały należytego zabezpieczenia i obrona Grudziądza opierała się na nieuzbrojonych i zrujnowanych fortyfikacjach



drobną częścią ogólnej walki. Być może nawet, że praktycznie udział polskich lotników w Bitwie o Anglię, wyrażający się strąceniem 1/6 samolotów niemieckich, miał większe znaczenie dla przebiegu wojny. Znaczenie jednak polityczne bitwy o Monte Cassino jest zdolne przerosnąć tamtą chwilę, kiedy ze wszystkich sprzymierzeńców jedni tylko Polacy mogli stanąć obok Anglików w obronie serca Imperium.

Trzeba na to polskiej mistyki, ażeby w dobytch metrach pozycji umieć dojrzeć krok, uczyniony ku kresowemu domostwu. Bitwa włoska jest więc dla nas, podobnie jak kampania wrzesniowa, sposobem udokumentowania praw moralnych, daniem najwyższej miary wierności słowu i polskiego sposobu wypełniania przyrzeczeń politycznych. Będąc zaś zarazem świadectwem wartości żołnierza, dodaje ona sprawdzian, którego musieli zbraknąć we Wrześniu: jak walczy armia polska w oparciu o wystarczające środki materialne.

We Wrześniu tych środków nie było. Tym większy walor ma świadectwo, zawarte

*) Zygmunt Szyszko-Bohusz. Wrzesniowym Szlakiem. Londyn. Kolin. Str. 52.

NOWOŚĆ!

Nakładem Wydawnictwa „W D R O D Z Ę”
ukazał się tom pierwszy

POWIEŚCI HISTORYCZNEJ TEODORA PARNICKIEGO SREBRNE ORŁY

Stron 356

Cena 300 milsów

TOM DRUGI W DRUKU

okrażającego — batalion, broniący wzgórz za rzeką, zdołał się wycofać, wynosząc cały sprzęt i wszystkich rannych, tracąc przecież 11-tu oficerów i trzecią część stanu liczebnego. Przez trzy doby Niemcy, walcząc z żołnierzem słabiej uzbrojonym, bez umocnień, młodym, częstokroć niedoświadczonym, przeżywającym pierwszą swą bitwę, zdołali się posunąć zaledwie o 9 km. Pierwszy akt dramatu zamyka rozkaz odwrotu; później dywizja zajęła się nieprzyjacielskie lotnictwo.

W tym pierwszym spotkaniu dywizji z nieprzyjacielem tkwią prawie wszystkie elementy wojny wrzesniowej. Niedostateczność liczebna, brak przygotowań obronnych, heroizm żołnierza i — ostatnie słowo, wypowiedziane przez lotnictwo. Błędy tej kampanii są szeroko znane poprzez skutki, jakie spowodowały, ale pod ich przykryciem leżą liczne świadectwa wartości żołnierza, która dziś sprawda się ponownie pod Cassino, a której dowody we Wrześniu wciąż jeszcze wymagają wydobywania na światło. Opowiadania Bohusza służą tym celom.

Oto nad Bzurą dywizja pomorska uderza na Niemców, starając się ich odeprzeć jak najdalej od szlaków odwrotu armii poznańskiej. Polacy zdobywają Łowicz. Samochody niemieckie podwożą 18-tą dywizję piechoty, rzucaną do ataku przy wsparciu batalionem czołgów, ciężką artylerią i eskadrami lotniczymi. Trzykrotnie uderzenie niemieckie zostało odparte, w nocy jednak przychodzi rozkaz odwrotu, ubezpieczonego przez szczupłe tylko oddziały.

Ważnego brodu na Bzurze strzeże drużyna strzelecka z rkm, wzmocniona jednym ciężkim karabinem maszynowym. Zaimprovizowaną przeszkodę stanowią chłopskie brony, zawleczone do wody i ułożone do góry zębami. W ciągu całej nocy zatrzymuje garstka ludzi niemiecką przeprawę, aż sprowadzone działka przeciwpancerne porożypywały helmy i czapki. Nad rzeką pozostało 12 zabitych.

W nocy z 14 na 15 września możliwość zwycięstwa była już bardzo daleka i coraz szerzej rozumiano, że wojna zamienia się w rozpaczliwą, bo beznadziejną, obronę. Armia pomorska, wyniszczona i prawie że pozbawiona łączności, gotowała się do nowego przeciwnatarcia, za którego cenę armia poznańska miała przez Sochaczew przedrzeć się do puszczy Kampinoskiej i dalej do Warszawy. Od rana, pomimo nieustannych nalotów niemieckich, trwała walka, która mogła być przerwana tylko wówczas, gdy gen. Kutrzeba przekroczy Bzurę na odcinku od Sochaczewa do Wisły. Gdy radiostacje dywizyjne nie nawiązały łączności z armią poznańską, wysłano na przełaj pluton „teków” z podolskiej brygady kawalerii. Ruszyły poprzez pola szukać poznańskich oddziałów. Gdy piątka „teków” podchodziła już do sochaczewskiego gościńca, z za wzgórz wysunęły się, idące w kilku falach, czołgi niemieckie. Było za późno na odwrót, ukrycie się, ucieczkę. Dowódca dał znak do rozwinięcia szyku i walki. Nikt go nie zawiódł, nikt się nie wyłamał, nikt nie wybrał poddania się, mimo paradoksalnej nierówności sił. Pięć pancerek polskich zostało na polu, postrzelonych jak rzeszoto.

W podobny sposób giną dwaj lotnicy, stanowiący załogę ostatniej „Czapli”, jaka pozostała dowodzący dywizji, samolotu tragicznie bezbronego wobec myśliwców niemieckich. Jako jedyny oddział rozpoznawczy i środek łączności trwa jeszcze dywizyjna kompania cyklistów. I ona, za cenę życia, spełnia do ostatka swe zadanie. Przedostatni z cyklistów każe koleżce ratować przede wszystkim rower i dążyć z meldunkiem, sam zaś leży w ranach na polu, póki go nie zmiażdży czołg niemiecki.

W każdym z tych opowiadań Szyszko-Bohusza powtarza się natarczywie prawda słabości środków i nadludzkiej siły żołnierza. Pod koniec męczeńskiego pochodu z Grudziądza do Warszawy, w ubogiej wsi, w kampińskich lasach, żołnierz znalazł nieoczekiwaną nagrodę. Oddział 32 ludzi przedzierał się na własną rękę do Warszawy — wsi były już patrolowane przez Niemców, w lesie czatowało pełno zasadzek. Polaków zaskoczono we wsi, zdołali się ukryć pod sianą, a następnie, w czasie gdy Niemcy pobierali obiad, wymknąć się na tyły wsi. Tam przeleżeli do nocy.

Nie śniło im się, by teraz właśnie mogli mieć ciepłą strawę, jeżeli często nie mieli jej wówczas, gdy bomby nie porożbiły jeszcze kuchni polowych. Alisbi tym razem nakarmiły ich polskie dzieci; o zmkroku przydzwigały sagany gorącej zacierki. Gdyby dzieciaki wpadły w ręce Niemców, gdyby Niemcy dowiedzieli się, dla kogo była warzona ta strawa, poszłyby z dymem cała wieś. Mimo to nie zawahano się nakarmić żołnierzy, nie przyjęto na siebie wstydu, by żołnierz odszedł głodny.

W tym miejscu opowieści wrzesniowe stykają się z legendą Polski Podziemnej. Żołnierz po obronie Warszawy częścią trafił do obozów jeńców, częścią uszedł na wschód lub na południe, by wreszcie dziś walczyć pod Cassino. Na miejscu pozostały takie rodziny, jak ta, która nakarmiła zgłodniałych Pomorzan. Relacje o ich życiu będziemy czytać dopiero wówczas, gdy droga przez Monte Cassino zaprowadzi do Polski.

JERZY BAZAREWSKI

E V I V A L A G U E R R A

Włochy, w maju 1944

Nocny wiatr od morza wpada przez otwarte okno do hotelowego pokoju i wicherzy włosy śpiącemu angielskiemu kapitanowi, który przed dwiema godzinami przyjechał spod Ortony. Jest druga kwadra delikatnego księżyca. Miasto wydaje się spokojne i bezpieczne. Trzeba wytrzeć oczy, żeby dojrzeć perły balonów zaporowych i pierwsze w widocznym planie, bombami poharatane domy. Ulica wydłubiona godziną policyjną, pełna niezbyt jasnego księżycowego światła. Krok mój hu- czy podkuto i brutalnie. Na rogu, na wytłamanym kawałku muru, wiatr dodziera wyblakły afisz faszystowski. Napisane jest na żółtej reszcie papieru: „E viva la guerra”.

Idę do hotelu. Przed chwilą przyjechałem z miejsca postoju, powiedzmy „AB”. Czuję na rękach, w ustach i w nosie dużo kurzu z długiej drogi. Jestem zmęczony tym dniem, który zaczął się na pozycji „AB”, a kończy się perspektywą snu w hotelu obok śpiącego już Anglika spod Ortony. Szeleszczące resztki napisu, wychwalającego wojnę, morski wiatr niesie nerwowymi porывami ku śródmieściu. Na redzie portu dyskretnie bieszczą statki. Pachnie rybami i wodą. Mój przyjaciel zauważa: — Cholernie śmierdzi... Nie odpowiadam, myślę nad tym napisem. Myślę o czasach niedalekich i szumnych, kiedy ulice tego miasta dźwięczały od ryku głosników, przez które duce krzyczały: „E viva la guerra!...”, a tłum, zebrany jak morze u stóp rzymskiego pałacu, odpowiadał jednym maledikim, ale bijącym jak wystrzał słowem: „SI!” Słowo to biegnie przez Tunis i Tobruk do Addis Abeby i dalej. Imperium faszystowskie ustami swojego wodza chwaliło wojnę, która tyle już dała i da jeszcze więcej...

Wchodzimy do hallu. Przez drzwi widać okrągłą salę. Za ladą elegancki pan, chyba Włoch, załatwia nam pokoje uprzejmie i wielojęzycznie. Roman zagłada do okrągłej sali: Dancing. Dancing dla przysgodniej publiczności, która jedzie z frontu i na front, która nocuje w tym portowym mieście przeważnie jedną noc. Hotel wytworny, z wymyślnymi wannami i bardzo czystymi pokojami, żyje mimo nocy całą parą. W pokoju 302 śpi mój kapitan spod Ortony, ale na krawędzi jego łóżka odchodzi — jak oznajmia zażywny Południowy-Afrykańczyk — drinking party. — O key... — mówię. — Very well... Are you going to morrow? — pytam grubasa. — O yes... — odpowiada. Mówi nawet, dokąd jedzie. Ponieważ w sumie odpowiedź jest raczej nieczu- ralna, zachowuję ją dla siebie.

Dancing jest wybitnie międzynarodowy. Anglicy, Amerykanie, Polacy, Francuzi, biali Afrykańczycy, Kanada, jakieś panie z napisami „Singapore”, Francuzki z Kanady, wszyscy rozbawieni i przeważnie elegancyści, wszyscy dobrze odżywieni i różni w zachowaniu się. W tym ostatnim, na pierwszym miejscu stawiam Francuzkę z Kanady. Roman wyszukuje najlepiej wychowanego mężczyzny. Po długiej chwili mówi: — Bardzo cię przepraszam, ale tutaj, ja nim jestem. O tobie nie mówię, nie mogę ci przecież prawić komplementów. — Śmieję się, aż wpada na mnie jakaś bardzo ładna pani. Okrągła buzia, zielone oczy, zgrabna, w amerykańskim frenczu. Pyta, śmiejąc się: „Mówi polski?” — Uśmiecham się i ja. Roman przekomarza się: „Nie, nie mówi, po angielsku mówię...” — Amerykaneczka rumieni się. „I’m sorry... My father was Russian...” — „A matka Polka?” — pytam. Okrągła buzia przeczy ruchem głowy. „Wciąż” nastaje Roman. „Słowa- ków...” — „O yes... I know...” — mówimy, żeby ją pocieszyć. Rozmawiamy łamanym językiem, chociaż Romek doskonale mówi po angielsku. Amerykanka chce gwałtem mówić po polsku. Mówi nieznanym ludzkości językiem, ale my dwaj ją rozumiemy. Na horyzoncie, to znaczy na poręczy mego fotelu, pojawia się nowa figura. Szczupły chłopiec. Amerykanin. — Polak! — wykrzykuje przybyły. — Świetnie — zauważa Romek. — Ale ja po polsku słabo mówię... — Lepiej słabo niż wcale — podnoszę go do duchu. „Rodzice dobrze gadali... ja słabo...” — Spolonizowane towarzystwo — stwierdza Roman sceptycznie i bardzo niepatriotycznie. O coś tam Amerykanina pytam. Ale facet mimo wielu (co widać wyraźnie) drinków poważnie. Pyta: — Byli panowie w Rosji?... — Romek nie był. Odpowiada ja: — I was... two years... — Słuchająca uważnie Amerykaneczka wzdycha. — Takbym chciała tam pojechać... — Zanim ktokolwiek z nas dwu zdążył coś powiedzieć, ogarnia nas konsternacja. Amerykanin z poręczy patrzy mi uważnie w oczy i mówi do dziewczyny, nie przerywając zucia gumy: „Nie bądź głupia.” — Czystą polszczyzną. — Niech żyje wojna — mówi Romek półgłosem. — Dlaczego? — pytam. — Ludzie na wojnie, w piątym jej roku, zdrowo zaczynają myśleć. To coś warte... — Idą drinki. Amerykańska para proponuje przejażdżkę jeepem. Dziękujemy. Przejechaliśmy dziś kilkaset kilometrów.

Moją uwagę pochłania pani z Kanady, mówiąca po francusku. Nie jest ładna ani — jak mówią niektórzy — „specjalnie” młoda. Wyróżnia się jednak niezwykłą dystynkcją i jakimś niesamowitym na tej sali wojennej — niewojennym czarem kobiecości. Publiczność nie jest najtrzeźwiejsza. Każdy partner w tańcu staje się przy co sentymentalniejszym

tangu bardzo czuły. Ale Francuzka Kanadyjka zawsze daje sobie radę. Uśmiecha się, mówi dwa słowa, i wielkie poręczniczyśko spod Anzio czy Ortony natychmiast się płacze: — I am sorry... — Never mind... — uśmiecha się przebaczącą pani, chłop trzaska obcasami, wszystko jest w porządku.

Orkiestra gra „Lili Marlene”. Piosenkę tę niedawno jeszcze śpiewał Africa Korps. Ale „Lili” stała się zdobyczą Aliantów. Przetłumaczona na wszystkie sprzymierzone języki, „Lili” płynie dniem i nocą przez całe wyzwolone Włochy. Czasem „Lili” występuje na takich jak ten dancingach. Zza lady patrzy na salę przymrużonymi oczami przystojny dyrektor. Rozmawiam po niemiecku. Pytam: — Nie tak dawno to samo śpiewali tutaj Niemcy?... — Włoch smutnieje: — Ja byłem wtedy w Wenecji. Stamtąd pochodzę. Nie zawsze byłem hotelarzem. Studiowałem prawo. Adwokatowałem. Teraz... tutaj... Romek lubi tańczyć. Jest przystojny i prawie ładna pani nie odmawia mu.

W zaciętrzewieniu, Romanek w pewnej chwili nie zauważył zmiany partnerki i sygnalizuje kobiecie, z którą tańczy, po angielsku. Pani hamuje: — Może pan mówić ze mną po polsku. Znam pana z Egiptu. Przypomina pan sobie? Przyjeżdżał pan do szpitala, do Jagódki... — Wstyd Romek!... — krzyczę.

Jakieś damie, kobiecie-kapitanowi, zaplatały się włosy w metalowe gwiazdki na naramienniku. Kędziory z gwiazdek wypływały niemal cała sala. Pani kapitan bardzo się krzywiła. Takie różne rzeczy były na tym dancingu...

Oto tańczą jacyś starsi panstwo. On pułkownik, ona major. Podniesione łokcie, naprężone twarze. Młodzież patrzy ironicznie. Starsi cieszą się, że dwójka tak żwawo się rusza. — Wojna przywraca siły?... — mówię do smutnego Szkota z fajką i w spódnicy. Odpowiedź jest niegrzeczna, ale szczerza. Pierwsze słowo odpowiedzi wykrópkuję ze względu na nieprzyzwoitą treść... — F... la guerra — skrzeczy Szkot po angielsku z wóską. Ale inni pochwalają. Napewno zgodziłaby się mną połowa sali.

Hotel jest olbrzymi, pełen światła i zapachów potu, perfum, jedzenia. Wszędzie pełno służby. Kobiety w białych czepkach, mężczyźni w szamerowanych fałszywym złotem frakach. Są grzeczni i zawsze zlekka przeżeni. Boją się na wszelki wypadek, chociaż nikt im nic złego nie robi. Ale pamiętają innych, którzy byli źli. Niemcy nie kończyli tak spokojnie swoich zabaw.

Znam historię już nie z Włoch. Charak-

teryzuje ona różne niemieckie obyczaje. Po uwolnieniu Afryki, pewien mój znajomy znalazł się w Cyrenajce. Został tam zburzone wnętrze pewnej restauracji. Jako człowiek złośliwy i odważny, zapytał gospodarza: — Kto to zrobił. Czy Australijczycy?... — Nie — odpowiedział gospodarz. — Więc kto? Może Polacy?... — Skąd? — oburzył się pytany. — Niemiecycy oficerowie taką pamiętkę zostawili ostatniej nocy przed ucieczką.

Kładę się do chłodnego łóżka. Jestem wykąpany i zmęczony. Relacjonuję na własny użytek ubiegły dzień. Więc, by mglisty ranek. Na wysuniętej pozycji. O dwa kilometry Niemcy. Świdziło spoczone spaniem w ubranu ciao. Na balce benzyny gotowała się sojowa kasza na śniadanie. Borys miał zacerwienione oczy i brudne paznokcie. Andrzej cesał jasne włosy dużego dziecka. Złoscił się, że nie ma ani odrobiny wody, żeby przemyć oczy. Stefan zauważył ewangelizację: — Zaraz będzie woda ognista... — Jaka? spirytus?... — spytał Borys, który jest, jak go pamiętam od Ługowoj, najniwniejszym żołnierzem w naszym wojsku, chociaż skończył chemię i po francusku czytał Prousta... — Spirytus będzie użyty przy amputacji pańskiej nogi — głupio zakrakał niewyspanym głosem Stefan. — Widzisz?... — skrzypiał — narazie wszelkie ognistości docierają do nas zza tamtej góry... — brudny paluch zacerwienił na tle nieba... — A przy amputacji spirytus będzie prawdziwy... proszę bardzo... żeby nie było infekcji, czy jak to się tam nazywa...

Księżyc blednie. Szumi niedalekie i kojące morze. Mój kapitan ma cienie na zapadniętych pod Ortoną policzkach.

Przyjaciele rozmawiają dalej. Rasowe nozdrza Borysa wachają się. Pucowały Andrzejek żuje gumę. Stefan zapina bluzę. Jesteśmy ziarnkiem ludzkiego piasku. Nasza pozycja nie przecieży nie znaczy. Ale jeśli tych pozycji jest wiele? To dobrze — odpowiadają sobie głośno. Trójka patrzy zdziwiona: — Z kim rozmawiasz?... — Z nikim — odpowiadam. Bo rzeczywiście wymknęło mi się. Głośno przez chwilę pomyślałem. Słońce wychyla się zza czarnej góry. Tam są Niemcy. Dzieli nas dwa kilometry górskiej trawy, pełnej kamieni, rosy i min. Taka trawa, bujna i swojska, a położyć się w nią nie można, bo niemieckie lornetki śledzą bez przerwy tak jak i nasze. Nie można... siedzimy więc w kamiennej norze. Niewyspani, źli, zacięci, gotowi na każdą trudną rzecz.

Jest godzina dwięsiasta. Wyjeżdżam do miasta, załatwić jakieś sprawy w tajnych ko-

pertach. Droga wiję się cudownie. Wszystko dokoła pachnie. Dziewczeta w oknach kamiennych miasteczek mają aksamitne oczy. Uświadamiam sobie: wiosna. Za autem biega śliczne i brudne dzieci. Rozdają wyfasowaną na „pozycji” czekoladę. Niebo jest bardzo niebieskie. Na jakiejś rozbitej chałupie, resztki napisu: „E viva la guerra...” Pachną kwiaty. Coraz bardziej pokrywamy się wapnistym kurzem. Na tłustym podgardlu kierowcy powstają tłuste paski. Kurz z potem daje na załamaniach ludzkiego tuszczu takie pręgi. Kierowca nic nie mówi przez całą drogę. Wczoraj długo mówił. Pytał wszystkich, jak się stąd wysyła paczki do Rosji. Ma w Rosji, w Kazachstanie rodzinę. I ja nic nie mówię.

W połowie drogi spotykam Romka. Jest zakurzony zupełnie na białą i w skórze. Ma rewolwer. Błyska wspaniałymi zębami: — Serwus... — Jedziemy razem. Roman uchodzi za wielkiego wiamywacza. Ciągłe wlamuje się do czyjegoś serca. Jest wielki i silny. Ma piękną twarz. Jest — rzadkość przy takiej urodzie — bardzo inteligentny. Znamy się dawno. Bardzo się lubimy. Romek w Egipcie skończył podchorążówkę. Nie mogę się przyzwyczaić, jak do niego mówię od niedawna: „Panie podchorąży”. Zawsze był private...

Morze jest coraz cichsze. Myślę przez chwilę, że o to morze i o to miasto, w którym teraz możemy spać spokojnie, Alianci długo i ciężko walczyli... Mój kapitan z cieniami na twarzy coraz głośniejszy. Chrapie zmęczony wielu nieprzespanymi nocami. Może patrolami... Ja nie mogę jakoś zasnąć. Płaczą mi się ludzie i zdarzenia. Ta francuska pani z dancingu i te włosy w gwiazdkach i amerykańskie: „Nie bądź głupi”, i resztki afisza z „E viva la guerra”. Romek wreszcie. Tamte kochane mały na pozieje...

Myślę: czy słuszne jest stwierdzenie „E viva la guerra”? Tak. I nie. Niech żyje ta wojna tak długo, aż ją wygramy. Ale wojna taka, żeby trwała?... Świństwo. Zatapia mnie wreszcie sen. Jeszcze myślę o tym, co powiedział Roman, gdy go spotkałem na drodze i zapytałem: — Ty co, jeździsz autostopem, jak na Wschodzie?... — No pewno — odpowiadał wesoło. — Teraz nawet łatwiej niż na Wschodzie. Każdy zabierze. Wojna jest. Wszyscy stali się przyzwoitsi. Tutaj możemy liczyć tylko na siebie. Żołnierze na żołnierzy. Inaczej byłoby źle. Przeżalibyśmy wojnę. Trzeba sobie pomagać we wszystkim.

Pomagać — myślę. No tak E viva... Pomoc wzajemna... Inaczej byłoby źle. Morze chyba szumi dalej, ale ja już śpię.

PAULINA APENSZLAK

CZARNA LITERATURA*

Każdy, nawet niezbyt uważny obserwator, spostrzeże, przerzucając katalogi ostatnich wydawnictw książkowych, że dzieł, zaliczanych do t. zw. „literatury pięknej”, albo dobitniej określanych po angielsku mianem „fiction”, coraz jest mniej, a coraz więcej zato „non fiction”, opartych na materiale faktycznym, na podłożu rzeczywistym.

Zmierzch „prozy fikcyjnej” zaczął się już zresztą na szereg lat przed wojną. Wojna ostatecznie przyspieszyła tę rewolucję smaku literackiego. Nie ma się przeto czemu dziwić, że powieściowy dorobek wojenny polski jest tak ubogi (Pruszyński i Obertyński), skoro nawet na terenie beletrystyki wszechświatowej niewiele można więcej zanotować, jak kilka powieści: Knighta, Hemingwaya, Steinbecka, Werfla, Broomfielda, podczas gdy cała generacja pisarzy starszych, sławnych i młodych debiutantów, opowiedziała się raczej po stronie autentycznej literatury, t.j. reportażu, pamiętnika, wspomnień.

Tłumaczenie tego zjawiska wydaje się dość proste. Można je zamknąć w banalnym określeniu, że życie okazało się bardziej pomysłowe od fantazji pisarza, że „rzeczywistość przerosła wszystkie imaginowane dramaty”, można to także wyjaśnić faktem przenikania aktualności do najgłębszych pokładów duszy ludzkiej. Współczesny czytelnik nasiąkał nią, jak gąbka nasiąka wodą. Totalna wojna zaangażowała nie tylko wszystkie materialne dobra świata, lecz przeniknęła jak gaz całe jestestwo ludzkie. Wciągnięcie całej ludności cywilnej do udziału w sukcesach i klęskach walki, ta zupełnie nowa i charakterystyczna dla obcej wojny cecha — zamieniła właściwie cały świat w jeden wielki front.

Jakże odległe są te czasy, kiedy ukoronowaniem spokojnego i sytego dnia był wieczór, spędzony w kinie na filmie o córce milionera, zakończony napełnianiem snu przez powieść. Dziś, najczęściej, po wyjściu z kina dreszcz przenika nas do głębi, a co druga książka zostawia nas pod wrażeniem grozy rzeczywistości. Kto wie, gdyby podczas ostatniej wojny opętano świat tym samym lękiem, tak samo rozagitowano prawdę o wojnie niemieckiej, może nie doszłoby do pokoju wilsonowskiego

*) „The Black Book of Polish Jewry”, Editor: Jakob Apenszlak, Published by The American Federation for Polish Jews. New York 1943. Str. 343.

i do nowej wojny obecnej. Opinia angielska, a szczególnie amerykańska, nie znała prawdy o Niemcach i to, jak twierdzi Schwarschild w swym znakomitym studium „The World in Trance”, uspiło jej czujność. Aby po raz drugi nie popełnić tego błędu...

Ukazała się obecnie pod redakcją Jakuba Apenszlaka w New Yorku „Czarna Księga Żydostwa Polskiego”. Otrzymałam ją przed kilku tygodniami i ilekroć usiłowałam ją przeczytać, tyle razy odkładałam książkę na bok, nie mogąc opanować wrażenia wstrząsającego, jakie wywiera choćby sam widok książki i ilustracje. Oczy nasze przyzwyczaiły się już do widoku bestialstw niemieckich na rosyjskich newsreelach w kinie, ale te fotografie są, widać, jeszcze bardziej przejmujące. Ogarnęło mnie powątpiewanie, czy książka ta, przeznaczona wyłącznie dla czytelnika amerykańskiego i cudzoziemców, dotrze do rąk właściwych, czy wrodzony egoizm poprostu nie zatrzyma czytelnika na pierwszej stronie. Czy wypełni ona swoją propagandową misję, klarującą łagodnym Anglosasom, że zbrodniczą masową w Polsce popełniona została nie przez pojedyncze osoby, ale przez dziesiątki tysięcy Niemców, opracowaną planowo przez tysiące innych, których znowu tysiące zapłodniło szatańskim posiewem nienawiści. Czy zmaże ona marzenie światobliwych Amerykanek o „dobrych Niemcach”, czy dzieci i uczniowie Wilsona obudzi ze snu?

Książka została wydana pod protektorem pani Eleanor Roosevelt, prof. Salo Barona z Columbia University, Sol Blooma, prezesa Komitetu Spraw Zagranicznych w Izbie Reprezentantów, Emanuela Celler, członka Kongresu, prof. Einsteina, burmistrza New Yorku La Guardi, Harolda Ickesa „Secretary of Interior”, Fredy Kirchway, reaktorki „The Nation”, A. J. Sabatha, prezesa Komitetu Praw w Izbie Reprezentantów, Sharkeya, prezesa Rady Miejskiej w New York, senatora Wagnera i innych. Poruszono wszystkie prawie sfery, starano się dotrzeć do nich różnymi możliwymi drogami, aby wyłożyć prawdę o „Blitzpogromie”, o męczeństwie żydostwa warszawskiego, o stworzeniu getta w Krakowie, Łodzi, Lwowie i Wilnie, o rezerwacie lubelskim, dokąd zwożono Żydów z całej Europy. Najwięcej miejsca poświęcono gettu warszawskiemu i jego bohaterkiej obronie, opowiedzianej przez świadków i zrekonstruowanej na zasadzie dokumentów. Ze-

kania te, uszeregowane są wedle kolejności i planu niemieckiego: dyslokacja terytorialna, pozbawienie praw, walka z religią i instytucjami kulturalnymi, podziemny ruch żydowski i biologiczne zniszczenie Żydów. A potem, jak to zwykle bywa w wspomnieniu pośmiertnym, w drugiej części, znajduje się historia tysięcy lat pobytu Żydów na ziemi polskiej z rozdziałami, poświęconymi ekonomicznemu życiu, ruchowi spółdzielczemu, zawodowemu, wychowaniu, sztuce, teatrowi, piśmiennictwu, prasie i t. d. Jest to praca zbiorowa pozostałych przy życiu działaczy żydowskich z Polski. Na tym kończy się kilkusetstronicowe dzieło o życiu i śmierci żydostwa polskiego.

Gdyby można było mówić o stopniowaniu czerni, o rzeczach straszniejszych niż straszne i okrutniejsze niż okrutne, napisałabym o pewnej książce zbiorowej, a pozostającej do tej pory w rękopisie, będącej rezultatem pracy grupy dziennikarzy, znajdujących się w Palestynie. Jak wiadomo, Palestyna jest tym jedynym krajem, dokąd w ciągu lat ostatnich przybyło najwięcej emigrantów wojennych, uciekinierów spod okupacji rosyjskiej i niemieckiej w Polsce. Przybyli oni i przybywają wszelkimi drogami, odbywając podróż pod lub nad wagonem, w skrzyniach pod pokładami, starcy i dzieci, tylko cudem nie raz a wiele razy wyratowani, ludzie którzy wydostali się z mogił bratnich, z komór gazowych, wyskakowali w biegu z pociągów śmierci, ludzie, którzy umieją nie jeść tygodniami i nie pić dniami, którzy ranę od kuli i rany od bicia przyjmują, jak rzecz naturalną, którzy nie mają już ani łez, ani serca, którzy nie boją się już piekła... Te jedyne w swoim rodzaju opowieści o panowaniu diabła nad światem stanowić będą dzieło jedyne chyba w historii ludzkości. To będzie najczarniejsza z wszystkich książek świata i może dlatego do dziś nie znalazła odpowiedniego wydawcy. Czy znajdzie czytelnika? Wciąż powracam do tej sprawy. Czy czarna literatura wstrząśnie sumieniem świata?

To samoudręczanie się, może chwilowo nie logiczne, nie pozostanie bez skutku; przynosi ono właściwą orientację i wskaże właściwy kierunek postępowania. Nauczyci, kogo należy nienawidzić, a komu zaufać, kogo tępić, gdzie szukać przyjaciela i co sądzić o „przyjaciółkach”. Czarna literatura to nie tylko emocjonująca, ale najbardziej dydaktyczna ze wszystkich literatur.

OPINIE ANGIELSKIE

Porażka rządu Churchilla w Izbie Gmin

Zaufanie, jakim się rząd Churchilla cieszy w kraju i w parlamencie, jest niemal stuprocentowe, jeśli chodzi o sposób prowadzenia wojny. Anglia zdaje sobie sprawę, że wydzignęła się niemal z dna klęski. Wie także, że zawdzięcza tę przemianę swej fortuny wojennej determinacji rządu Churchilla i jego zrzecności w planowaniu wojennym i dyplomatycznym, w równej mierze co produkcji amerykańskiej czy zwycięstwom rosyjskim.

Jednak gdy tylko opuszczamy teren akcji czy dyplomacji wojennej, ta jedynomyślność narodu i parlamentu przestaje być równie przekonująca. Dotyczy to bardzo wielu posunięć wewnętrzno-politycznych, a w szczególności planowania wojennego. Anglicy nie zarzili się kontynentalnym bakcyliem „jedynomyślności”, a ponieważ są narodem politycznie i społecznie dojrzałym, wiedzą o tym, że jeśli ktoś jest dobrym generałem czy politykiem, to nie ma jeszcze tym samym monopolu na nieomyślność. Taka ułomność nie pomniejsza zresztą w ich oczach niczyjej wielkości. (Argument ten jest odwracalny. Bezkrzytyczna gorliwość popleczników wykończyła już niejednego prawdziwie wielkiego człowieka).

W bardzo jaskrawy sposób objawił się ten brak jedności 28 marca b. r., w którym to dniu rząd angielski po raz pierwszy od wybuchu wojny przegrał w głosowaniu parlamentarnym. Chociaż sprawa ta będzie przebrzmiała, gdy słowa te dojdą do Palestyny, warto ją omówić, gdyż naświetla doskonale tak trudny dla nas do zrozumienia mechanizm angielskiego życia i myślenia politycznego.

W toku czytania ustawy o reformie szkolnictwa konserwatywna posłanka, Mrs. Cazalet Keir, wniosła poprawkę tej treści, że w szkolnictwie nie powinno być żadnej różnicy plac między kobietami a mężczyznami, jeśli pełnią analogiczne funkcje. Poprawka ta przeszła większością jednego głosu przy stosunkowo małej liczbie głosujących. Poprawka była słuszna. Różnica wynagradzania w zależności od płci jest w warunkach współczesnych anachronizmem. Olbrzymia większość opinii publicznej — zarówno oświeconej, jak nieoświeconej — zgadza się z tym. Nie mniej rząd przy następnym czytaniu powtórzył swój wniosek, nie uwzględniając poprawki, i postawił przy tym kwestię zaufania. „Rząd nie widzi możliwości różnicowania między głosowaniem w sprawach wewnętrznych a głosowaniem w sprawach ogólnej polityki wojennej” — oświadczył Churchill. Innymi słowy, przegrana przy stosunkowo drobnej poprawce podczas debaty nad reformą szkolną uznał jako dowód braku zaufania do swej polityki wojennej.

Zarzucono Churchillowi, że po dyktatorsku sobie poczyną. Opozycja twierdziła, że jeśli rząd ma wątpliwości, czy jego polityka wojenna cieszy się zaufaniem Izby Gmin, to może postawić kwestię zaufania przy jakiejś innej, bardziej z polityką wojenną związanej sprawie. Takie ultimatum zmusza posłów do wyboru pomiędzy ich poglądem na sprawę nierówności plac a przekonaniem, że Churchill i jego rząd jest najwłaściwszy dla dalszego prowadzenia wojny. Rząd argumentował, że sprawa zrównania plac w szkolnictwie jest sprawą zasadniczą, gdyż wywołać musi postawienie zasadniczego problemu równości plac we wszystkich dziedzinach pracy, a tej sprawy nie można załatwić przy sposobności poprawki do ustawy o reformie szkolnictwa. Ponieważ stanowisko swoje rząd jasno wyraził przed głosowaniem, przeto gdy znalazł się w mniejszości, musiał wyciągnąć jak najdalej idące konsekwencje.

W głosowaniu nad wotum zaufania otrzymał rząd olbrzymią większość, bo 425 głosów — za, a zaledwie 23 — przeciw.

Mimo to cała niemal prasa w mniej lub bardziej ogólnych słowach zganiła stanowisko rządu. Jeśli „Yorkshire Post”, pismo uchodzące za organ Edena, ministra spraw zagranicznych i łącznika między rządem a parlamentem, mogło w artykule wstępnym napisać: „Churchill może osłabić swoją niewzruszoną postawę przywódcy wojennego Anglii tylko w tym wypadku, jeśli będzie się domagał tego lojalnego posłuchu, jakim go naród darzy w sprawach wojny, także w każdej innej sprawie” — świadczy to o wyraźnym zaniepokojeniu opinii publicznej Anglii. Inne gazety pisały zresztą znacznie mniej powściągliwie.

Gdy czytamy najrozmaitsze krytyki Churchilla, gdy stwierdzam, że entuzjazm dla wodza narodu nie koliduje w oczach Anglików bynajmniej z faktem ograniczonego zaufania do Churchilla jako reformatora powojennej Anglii, to widzę w tym objaw najprawdziwszej demokratyczności. Szczerzej, spontaniczniej i takiej, która nie istnieje tylko na pokaz.

„Smocza 13”

W Ognisku Polskim w Londynie odczytano parę dni temu sztukę o ghetcie warszawskim Stefani Zahorskiej p. t. „Smocza 13”. Jest to drugi głos pisarza polskiego o najstraszliwszej zbrodni świata, którą Niemcy popełnili na ziemi polskiej. Tymon Terlecki w artykule p. t. „Alle Juden raus...” dał analizę psychologiczną zdarzeń. Zahorska udratyzowała ich treść.

W słowie wstępnym, wygłoszonym przed przedstawieniem, tłumaczyła nam p. Zahorska, że musiała stonować napięcie swej sztuki. Temat jest bowiem tak okrutny i tak żywo stoi w świadomości Polaków, że nawet naga prawda byłaby czymś nie do zniesienia dla widza. Nie można więc było stwarzać sztucznych konfliktów jak miłość lub t. p., które dla innych autorów dramatycznych są normalnym tworzywem dramatu czy tragedii.

Tym wstępem starała się p. Zahorska usprawiedliwić fakt, że jej utwór wygląda nie jak klasyczna tragedia, ale jak reportaż. Jest w nim wprawdzie parę wątków dramatycznych i jakiegoś zacięcia akcji, jak wspaniale naszkicowany konflikt deportacji i powrotu Jakuba; jak nieprzekonywująca artystycznie scena w tajnej drukarni; jak wreszcie drażniąca swą naiwnością „ofiara” Andrzeja lub wątek miłosny, od którego p. Zahorska tak się w wstępie zarzekała; ale to wszystko

razem nie jest dramatem. Sceny dramatyczne? Być może... ale raczej reportaż.

Czy p. Zahorska miała rację, obawiając się udratyzowania tragedii Żydów warszawskiego getta? Wydaje mi się, że nie. Gra konfliktów i charakterów — jaką jest każdy dramat sceniczny — nie koniecznie musiała w tym wypadku wzmocnić matężenie tragiczności. To jest kwestia kunsztu i zamierzenia pisarskiego. Jeśli zamierzony był reportaż: to O. K.! Jednak po co w takim razie wstęp? Ale jeśli zamierzona była sztuka, to niebardzo wypadła.

Niemal równocześnie z utworem Zahorskiej widziałem w Aldwych Theatre dramat Sherwooda p. t. „They Shall Be To-night”. To nasunęło mi porównanie i niespodziewanie znalazłem sporo analogii. Sztuka Sherwooda także mogła być reportażem. Jej treść, tragedię rodzinny greckiej, wynikała na skutek siły wyższej — wojny grecko-włoskiej, a potem grecko-niemieckiej — można by ubrać w tę samą reportażową formę co „Smocza 13”. Cóżby z niej wówczas zostało? Ogólnoludzki konflikt — tragedia wielkiego i mądrego uczonego, wciągniętego nieuchronnie przez siłę wyższą w sprawę, w której nie wierzy, w konflikt, który potępią — zamieniliby się w jakieś może bardziej „życiowe” pogaduszki na temat, jak strasznie, jak źle, jak okrutnie, jak głodno, jak smutno, jak i t. d. Tragedia Grecji, choć nie tak nieładzka, jak tragedia Żydów, ma dość elementów dramatyczności i tragizmu, aby Sherwood — jak Zahorska — mógł powiedzieć: „To byłoby za dużo na nerwy ludzkie. Tegoby słuchać nie wytrzymał!” Sherwood chciał jednak i umiał oderwać się od reportażu i stworzył świetną i przejmującą sztukę. Pełna „sztuczności” napięcia, logicznie przeprowadzonej akcji i prawdziwych — życiowo i scenicznie — charakterów. A to udratyzowanie nie spotęgowało do „niemożliwości” tragedii Grecji, ale skoordynowało tylko dramat Sherwooda, nadając mu artystyczny wyraz i charakter.

P. Zahorska napisała reportaż sceniczny, ale chciała, aby to była tragedia (w klasycznym tego słowa znaczeniu). Jest to nieporozumienie. Reportaż może być równie doskonałym dziełem sztuki, jak powieść czy dramat (np. reportaż Alana Mooreheada), ale artysta powinien się zdecydować: „W-te, czy we-wte”. W reportażu wystarcząby napięcie faktów. Zahorska wstawia jednak w swój utwór naprawdę sztuczny konflikt miłosny i za włosy wyciąga punkt kulminacyjny: obrońcę ghetta, która treściami z akcji nie wynika. Charaktery — oprócz Rotmana i Rotmanowej — są także reportażowe. Są to migawki fotograficzne, ale nie dramatał p. Sanae.

Powyższe uwagi, krytyczne wobec zamierzenia artystycznego i niektórych szczegółów wykonania, nie negują bynajmniej dużych wartości utworu p. Zahorskiej. I jeszcze jedną rzecz, której nie należy pominąć. Głuche milczenie, jakim pisarze polscy przyjmują tragedię swych współobywateli i rodaków Żydów, nakazuje tym większe uznanie dla tych, którzy jak Terlecki czy Zahorska mieli dość serca i odwagi (tak odwagi!), aby te sprawy — jak wyrzut sumienia — rzucić w twarz świata. I kto wie, czy właśnie ta odwaga, która każe Zahorskiej wypowiedzieć się tam, gdzie inni znajdują tylko obłudne milczenie, nie przeważa artystycznych niedoskonałości jej utworu.

Do czego zmierza Australia?

Do czego zmierza Imperium Brytyjskie i Brytyjska Wspólnota Narodów? Czy konferencja premierów Wielkiej Brytanii, Kanady, Australii, Nowej Zelandii i Południowej Afryki wyjaśniła ten problem, który ukryty jest normalnie w patetycznej frazeologii oficjalnych komunikatów i grzecznościowych toastów? Jak dotąd nie. Nie jest także prawdopodobne, aby to się stało.

Jak zamierza się ostać ten kunstowny gmach, zbudowany nie na sile, ale na rozumie politycznym, tak prostym i tak bezpośrednim, że przeraża niekiedy swą nieładzką logiką. Czy wytrzyma napór dynamicznej ideologii Sowieców? Czy nie ugnie się pod impetem gwałtownej młodzieńczej imperializmu Stanów Zjednoczonych? Czy też — jak w r. 1940 — zadziwi świat swą odpornością i czy znów ludzie powiedzą: „Anglia ma szczęście. Nie, tylko szczęście!”

Nie! nie ma sensu szukać rozwiązania tej zagadki w oficjalnym komunikacie konferencji, który, rzecz jasna, będzie bardzo optymistyczny i nic nie mówiący. Nie jestem nawet pewien, czy dowiedziałby się czegoś śmiałek, któryby wtargnął pod 10. Downing Street i podsłuchał tych najtajniejszych — stricte, confidential — deliberacji. Sekret Commonwealthu nie leży w mniej lub bardziej przypadkowych zebraniach mniej lub bardziej przypadkowych premierów, tak jak nawet wzrost potęgi brytyjskiej nie był wynikiem przypadkowości kanału La Manche, czy wyspiarskiego położenia Anglii. Nie ma prostej odpowiedzi na to pytanie, tak jak nie ma prostej odpowiedzi na żaden problem ludzki: jednostkowy czy zbiorowy. Dopiero iloczym naszych brytyjskich doświadczeń (któż go obliczyć potrafi?) wyda nam sekret wielkości Anglii. Uwadze p. matematyków, którzy porwą się na rozwiązanie tego obliczenia, polecam skromną książkę o malej części Commonwealthu (zaledwie 7.702.000 kilometrów kwadratowych), p. t. „Advance Australia — Where?” by Brian Penton (Cassell & Co. Ltd., 1943, str. 234).

Nie znajduję w niej ciekawych kandydaci na emigrantów dat, faktów czy cyfr. Nie dowiedzą się pedantycznie i po baedekerowsku, gdzie najlepiej osiedzić, jaki jest klimat, jakiego zawodu najlepiej się chwycić, gdzie inwestować, jak wyrobić sobie wizę? Nie jest zresztą ta książka pisana dla emigrantów. Pisana jest w pierwszym rzędzie dla Australijczyków, a w drugim rzędzie dla Anglików. Jeśli jednak chcemy rzetelnie dociec prawdy o Imperium i Commonwealth'ie, to właśnie takie książki — nie pisane na eksport — powinny nas zainteresować.

Nie umiem określić przynależności partyjnej Brian Pentona. Jest lewicowcem — to jest niewątpliwe — ale zbyt niezawisłe i indywidualnie myśli, aby można go podciągnąć pod wspólny mianownik jakiegos „izmu”. Ten Australijczyk jest

przez to bardzo typowo angielski. Szuka własnych prawd. Chodzi własnymi drogami.

W pierwszej części książki szkicuje historię Australii. Nie historię dat i banalów, ale te fakty i te myśli, które w końcowym ustępie będą podkładem dla wniosków o jutrze Australii. Część środkowa książki tłumaczy nam rzeczywistość polityczną Australii czasów wojny.

Nie pokuszę się o streszczenie jego wywodów. Nie umiałbym w krótkim artykule oddać tych myśli, faktów i wniosków, które mają dać odpowiedź na pytanie: „Do czego zmierza Australia?” Nie znam Australii. Jest dla mnie dalekim krajem, który należy do wspólnoty narodów brytyjskich, które najbardziej podziwiam i dla których czuję najwyższy respekt, ale sam sentyment nie wystarczy do oceny. Autor może się mylić we wnioskach lub w interpretacji faktów. Ale to obchodzi Australijczyków. Mnie — cudzoziemca — potrafił zainteresować swą ojczyzną: dalekim i obcym dla mnie krajem na antypodach. (Obcym? Czy kraj tak nawskroś brytyjski — mimo swej młodości — może być dla nas, którzy żyjemy pośród Anglików już piąty rok, krajem obcym?)

Ernest Bevin contra Aneurin Bevan

Bevan jest „enfant terrible” Labour Party. Jedno z niedzielnych pism londyńskich porównuje go z Churchilllem. Porównanie ma swoje racje i swoją pikantę. Podobnie jak Churchill przed wojną w partii konserwatywnej, tak Bevan jest obecnie w Labour Party przewodnikiem każdej partyjnej „rewolucji”. Żaden z nich nie umie nagiąć się do rygorów partyjnej dyscypliny. Oba mają niepomahowany język i wybuchowy temperament. Pikanteria porównania leży w tym, że Aneurin Bevan jest największym i bodaj jedynym — dziś w Anglii publicznym wrogiem Churchilla.

Aneurin Bevan jest posłem Labour Party i filarem socjalistycznego tygodnika „Tribune”. Jest on tak stałym i uporczywym krytykiem rządu, że „najstarsi ludzie nie pamiętają”, kiedy i jak się to zaczęło. Faktem jest, że każde exposé Churchilla automatycznie niemal wywołuje filipię Bevana, a wystąpienia parlamentarne Bevana nierzadko prowadzą do pojedynków słownych z Churchilllem.

Abstrahuje od poglądów, jest Bevan postacią raczej sympatyczną. Jego temperament i siła jego inwetywy powinny podobać się ludziom z kontynentu (choć nie podobają się niektórym Polakom, ale... to jest inna historia). Mimo to należy stwierdzić, że jego wystąpienia zbyt często nie są obiektywne, a jego uprzedziom brak uzasadnienia. Jadowne ataki i paszkwile antychrylichowskie, które dość często spotykamy w „Tribune” są niewątpliwie także plodem pióra lub inicjatywy Bevana.

Obecnie jest Bevan bohaterem innej kontrowersji. Niedawno minister pracy Ernest Bevin (członek Labour Party i przedstawiciel Trade Unionów) wniósł do Izby Gmin imieniem rządu dekret antystrajkowy. Napozór rzecz dziwna w kraju demokratycznym, walczącym między innymi także o to, aby robotnicy wszystkich krajów mieli prawo strajkowania. Jednak Anglia była — z najrozmaitszych powodów — niedawno widownią szeregu strajków, które nie były aprobowane ani przez Trade Uniony, ani przez przywódców robotniczych. Strajki te były bardzo skodliwie dla przygotowań inwazyjnych. Przeprowadzone dochodzenia wykazały, że w tych strajkach maczała palce „czarna mafia trockistów”. (Relata refero — choć ośobiście wydaje mi się, że ta cała historia o sabotażystach trockistowskich jest zbytnią simplifikacją, aby mogła być prawdą). Wobec tego minister Bevin wniósł wyżej wspomniany dekret, który w sposób drastyczny zabraniał strajków, agitacji strajkowej i t. d. Dekretowi sprzeciwiło się wielu posłów Labour Party i w ich imieniu Aneurin Bevan postawił wniosek o unieważnienie dekretu. Rada naczelna frakcji parlamentarnej Labour Party postanowiła jednak głosować za rządem, a to postanowienie było — w myśl dyscypliny partyjnej — obowiązujące dla wszystkich członków Labour Party. Mimo to Bevan i 15 innych posłów Labour Party głosowało przeciw rządowi, a zaledwie 20 labourzystów (nie licząc tych, którzy zasiadają w rządzie) głosowało za. Najbardziej charakterystyczną rzeczą była olbrzymia większość nie głosujących.

Nie był to pierwszy wypadek niesubordynacji partyjnej. „Bunt” w sprawie uwolnienia Mosley'a, w sprawie planu Beveridge'a, w sprawie równej płacy dla kobiet nauczycielek i t. p. zbyt często się powtarzają. „Buntownicy” Labour Party wychodzą z założenia, że dyscyplina partyjna nie powinna obowiązywać w sprawach wewnętrzno-politycznych, a tych „buntowników” jest niepokojąco wielu.

Władze partyjne postawiły ostro zaręgować. Postawiono wniosek o wydalenie Bevana z Labour Party. Tylko Bevana! Jednak 15 posłów, którzy razem z nim głosowali, poświadczyli swą solidarność także i teraz i zagrozili wystąpieniem z partii w razie wydalenia Bevana. Z drugiej strony minister Bevin, którego stanowisko w rządzie, w Labour Party, a nawet w Trade Unionach zostało tą sprawą mocno zachwiane, zajmując bardzo nieustępliwie stanowisko. Równie urażony i nieustępliw jest „leader” frakcji parlamentarnej Labour Party, Greenwood.

„Buntownicy” powołują się na zasady ideologiczne partii. Władze partyjne — bardziej praktycznie — na dyscyplinę, bez której żadna wielka partia ostać się nie może. „Buntownicy” wyczuwają bardzo widoczny ruch na lewo angielskich mas, niecierpliwie chcieliby już dzisiaj doprowadzić do rozgrywki z torysami. Władze partyjne — z angielską — nie wiele dają na gwałtowne posunięcia i wyznają zasadę *festina lente*. Tylko z potęgą i zdyscyplinowaną organizacją będzie Labour Party po wojnie zdolna do objęcia władzy i dość silna, aby przeprowadzić swe tezy i swe reformy.

W chwili, gdy piszę te słowa, radio donosi, że „burza” bevanowska zakończyła się po angielsku, kompromisem. Rada naczelna Labour Party zażądała od Bevana pisemnego oświadczenia do dni siedmiu, że nie będzie więcej łamał dyscypliny partyjnej. Jeśli do dni siedmiu oświadczenia

takiego nie złoży, będzie wydany z partii. Niemal równocześnie doniesiono, że Bevan oświadczenie podpisał. Ale kompromis kompromisem, sprawa ta jest poważnym memento dla Labour Party.

Raymond Gram Swing

Od wielu lat przed wojną jest Raymond Gram Swing „instytucją” dla przeciętnego Anglika. Co sobotę wieczór (obecnie od paru tygodni co piątek wieczór) po news'ach o godzinie 9-jej nadaje BBC jego komentarz polityczny z Ameryki, „American Commentary” stało się równie stałą atrakcją brytyjskiego życia (a pamiętajmy, że niemal każdy dom ma tutaj swoje radio), jak sobotni football, a swą długotrwałością przewyższyło wiele innych *features* brytyjskiego radia, nie wyłączając „Monday Night at Eight” czy wręcz smarkaty „Brains Trust”.

Komentarze Raymonda Gram Swinga charakteryzuje duża trzeźwość i pewność siebie. Nieraz zastanawiałem się nad tym, jak też ten amerykański komentator wygląda. Lubimy widzieć to, co znamy. Fotografia autora, taka na pozór bezsensowna ilustracja książki czy artykułu, interesuje czytelnika nierzadziej niż wyszukane ilustracje treści. Wyobrażam go sobie, jako tegiego, lysego (dlaczego lysego?), starszego pana z cygarem. Cygaro i tuszę narzucił mojej fantazji prawdopodobnie jego głęboki, basowy głos i lekkie sepienie. Gdyby nie mocny amerykański akcent, zaryzykowałbym porównanie z głosem Churchilla.

Raymond Gram Swing wydał obecnie zbiór swych przemówień radiowych i niektórych innych p. t. „*Preview of History*”. Książka wypadła niespodzianie świeżo. Normalny komentarz polityczny — taki, jaki spotykamy we większości gazet — nie wytrzymuje próby czasu. Wiednie pod naporem wydarzeń. Jeśli więc komentarze Raymonda Gram Swinga czytać można lekko i z zainteresowaniem nawet po upływie długiego czasu, to mówi to równie wiele o jego intuicji politycznej, co o jego talencie pisarskim.

Książka o Ameryce Łacińskiej

Gdy czytamy o obcych krajach, mimo woli podchodzimy do książki z pewnym uprzedzeniem. Czy też to, co czytamy, jest prawdą? Czy autor nie buja? A jeśli nie buja, to czy podświadomie nie daje krajowi, o którym pisze, barwy swych własnych przekonań politycznych, religijnych, artystycznych. Podświadomie? Czy pisarz, który tylko podświadomie nadaje tendencje swej książce, może być dobrym pisarzem? Czy inteligencja i talent nie są głębią, na której tendencyjność najbardziej kwitnie?

„*South American Journey*”, amerykańskiego pisarza Waldo Franka (Gollancz Ltd. 1944, str. 215), jest książką bardzo tendencyjną. Od pierwszej strony aż do ostatniej nie pozostawia nas ani na chwilę w złudzeniu co do swoich lewicowych (socjalistycznych?) zapatrywań. Zwiędzamy z autorem Brazylię, Urugway, Chile i Boliwii, a poprzez tok narracji przewijają się niemal wszystkie inne kraje Ameryki Łacińskiej, i z każdej z owych mniej lub bardziej sfaszyzowanych republik potrafił wyluskać wszystko, co tylko da się powiedzieć o ich... demokratyczności i lewicowości. Dowiadujemy się rzeczy niespodziewanych i mile nas rozczarowujących; że Argentyna — mimo pozorów — nie jest krajem na wsroś faszystowskim, ale że temperament i inteligencja jej ludu zmierzają najwyraźniej i zupełnie świadomie w kierunku wręcz przeciwnym; że istnieje możliwość pogodzenia Boliwii z Paragwajem ponad głowami międzynarodowych magnatów naftowych; że Brazylija jest olbrzymim commonwealth'em o niezmiernych, ale drzemających jeszcze siłach i bogactwach. Są i inne, mniej pocieszające fakty, choć i tutaj tendencyjność sżyta jest dość grubymi nćmi. Jedyna socjalistyczna republika Chile jest przeżarta gangreną hitleryzmu, który emanuje spośród licznych kolonii niemieckich.

Jak stwierdziłem jest to książka tendencyjna, trudno zatem ustalić bezwzględna wartość faktów, które podaje. Napisana jest jednak ciekawie, barwnie i po ludzku. Razi trochę egocentryzm autora i przesada oraz egzaltacja, gdy pisze o sobie, ale to są detale na tle olbrzymiego krajobrazu, który przed nami rozciąga.

Wystawa Royal Academy of Arts

Nie! Proszę się nie obawiać! Nie będzie to sprawozdanie z wystawy. Nie znam się na malarstwie. Nie znam się w każdym razie na tyle, aby fachowo i rzeczowo mówić o „śmiałości linii”, „głębi kolorów”, „wyczuciu powietrza” i tym podobnych sprawach, którymi wtajemniczeni magowie sztuki epatują w konwersacji. Nie wiem, czy obecna wystawa wiosenna jest epokowa, przełomna, czy marna. Nie potrafię nawet powiedzieć, który obraz mi się najbardziej podobał.

Uderzyły mnie natomiast trzy sprawy. 1) Olbrzymia ilość eksponatów i nazwisk. 1285 eksponatów i 697 nazwisk malarzy i rzeźbiarzy. Nie umiem — jak stwierdziłem powyżej — ocenić bezwzględnej wartości poszczególnych obrazów, ale wszystkie bez wyjątku były poprawne w technice i w rysunku. Jaką stąd wniosek? Jeśli 697 artystów obesało (obesało i zostało przyjętych) wystawę, świadczy to o olbrzymiej popularności malarstwa w Anglii, a także o powszechności kultury zarówno u artystów, jak i u nabywców. Malarstwo, widać, popłaca w Anglii. 2) Bardzo mała ilość obrazów o treści wojennej. Wprawdzie największy obraz wystawy, „Take off” Laury Knight, przedstawia wnętrze bombowca w chwili startu (nota bene, największy nie oznacza: najlepszy), ale obrazy wojenne policyjne można niemal na palcach. Ta pokojowa, niewojenna atmosfera wystawy zaskakuje nas kontrastem ze zbrojną determinacją Anglii. Kwiaty, dzieci i krajobrazy — oto ulubiona tematyka. Nie można z tego wysnuwać żadnych wniosków, ale warto ten fakt zanotować. 3) Z malarzy polskich wystawił jedyny Marek Żuławski. Oprócz Żuławskiego zauważyłem jeszcze jedno cudzoziemskie nazwisko, zresztą związane także z polskim tematem, Frank Kováč wystawił medal z brązu, popiersie generała Sikorskiego.

H. S. Dominik

PRZEGLĄD POLITYCZNY

COSAS DA ESPANA

Sceptycy kiwali już głowami: próbowali tłumaczyć wiadomości o przygotowaniu do inwazji jako jeszcze jedną kampanię wojny nerwów. Dzień 6 czerwca pokazał, że się mylili. Przyszła ona najniebezpieczniejsza, w momencie kiedy fala plotek na tematy przygotowań inwazyjnych wyraźnie opadła i kiedy wydawało się rzeczą prawdopodobną, że została odłożona do jesieni.

Zdajemy sobie wszyscy sprawę z tego, że jest to zwrotny punkt wojny. Weszła ona teraz w stadium ostatecznej rozgrywki. Inwazja nagle przybliżyła i uczyniła realnymi możliwości końca tej wojny, do niedawna jeszcze raczej abstrakcyjne.

Oczywista, trudno ludzi się, jakoby walki na froncie zachodnim miały być łatwe i krótkotrwałe. Do żadnej chyba kampanii w świecie obie strony nie przygotowały się z takim napięciem wszystkich sił, na tak olbrzymią skalę i tak długo. Po obu stronach frontu przygotowania sięgają jeszcze r. 1940. Niemcy rozpoczęli fortyfikować wybrzeże europejskie od momentu, kiedy przegrał Battle of Britain. Dla Anglików od chwili załamania się Francji w czerwcu 1940 r. było rzeczą jasną, że droga do zwycięstwa nad Niemcami prowadzi poprzez lądowanie w Europie.

Lądowanie wojsk sprzymierzonych na wybrzeżu francuskim można rozważać z dwóch punktów widzenia: wojskowego i politycznego. Z chwilą gdy słowa te są pisane, za mało jeszcze mamy danych po temu, abyśmy mogli się zorientować w sytuacji wojskowej na froncie zachodnim. Pewne punkty zasługują już jednak na podkreślenie. Sprzymierzeni nie lądowali na tym odcinku wybrzeża francuskiego, w którym Kanał jest największy, ale który też był chyba najsilniej ufortyfikowany przez Niemców. Lądowali dalej, na wybrzeżu normandzkim. „The further off from England, the nearer is to France”. Front przebiega w tej chwili między dwoma największymi portami północnego wybrzeża Francji: Havrem i Cherbourgiem. Można się założyć, że najbliższym głównym celem Sprzymierzonych będzie zdobycie jednego z tych portów. Bez tego trudno sobie wyobrazić, jak mogliby na dłuższą metę przerzucić do Francji te wielkie masy żołnierza i przede wszystkim sprzętu wojennego, jakie będą konieczne do rozwinięcia na terenie Francji ofensywy w wielkim stylu.

Pierwsze już sprawozdania z frontu zachodniego umacniają nam raz jeszcze, jak przynajmniej jest przewaga Sprzymierzonych w powietrzu i na morzu. Zdawali sobie z niej sprawę już na podstawie komunikatów z postępów wojny na morzu i z ofensywy włoskiej, zawsze jednak istniała możliwość, iż Niemcy posiadają jakieś potężne rezerwy strategiczne, które rzucią do akcji w momencie walk decydujących. Moment ten obecnie nadeszedł, komunikaty z ostatnich dni mówią o znacznym wzmożeniu działań lotniczych u Niemców, daleko im jednak do zasięgu działań Sprzymierzonych. Czy uważają, że decydująca chwila jeszcze nie nadeszła? Czy też nie mają już dużych rezerw?

Nie trzeba podkreślać, jak olbrzymie atuty daje ta przewaga powietrzna w ręce Sprzymierzonych. Prawda, nikt jeszcze w tej wojnie kampanii wyłącznie działaniami lotniczymi nie wygrał, ale też w każdej kampanii wojsk lądowych działalność lotnictwa odgrywała olbrzymią rolę. W naszym wypadku lotnictwo Sprzymierzonych utrudnia i opóźnia koncentrację wojsk niemieckich na linii frontu oraz dostarczało tego parasola, pod którego ochroną wojska Sprzymierzonych mogły względnie bezpiecznie lądować na wybrzeżu normandzkim. Pamiętamy, że jeszcze nie dawno propaganda niemiecka zapewniała, iż z pierwszego rzutu lądujących wojsk Sprzymierzonych musi zginąć przy lądowaniu od 25 do 50 procent. Masowa wieciezka samobójców, „Massenausflug der Selbstmörder” ochrzciło radio berlińskie próbę przeprowadzenia się przez La Manche. Nie znamy jeszcze liczby strat wojsk Sprzymierzonych przy lądowaniu, wszystkie jednak sprawozdania wskazują na to, że były one stosunkowo nieznaczne. Dziś nawet radio niemieckie, które ma przecież naturalną tendencję do wyolbrzymiania cyfr strat Sprzymierzonych, nie odważa się już na powtarzanie tak wielkich cyfr procentowych.

Opanowanie morza i powietrza przez Sprzymierzonych oraz świetne zwycięstwa we Włoszech pozwalają nam patrzeć z optymizmem na dalsze perspektywy walk na froncie francuskim. Zato polityczne perspektywy inwazji toną w dalszym ciągu w mgłę niejasności. Na krótko przed inwazją doszło co prawda do podpisania umów w sprawie procedury przekazywania władzy legalnym rządowi Belgii, Holandii i Norwegii po oswobodzeniu ich terytoriów. Pewną sensację stanowiła tu okoliczność, że umowę z rządem norweskim podpisali także i Rosjanie. Sensację dlatego, że Wielka Brytania od dawna uważa wybrzeże norweskie za swoją zewnętrzną linię obrony i stąd jest bardzo zazdrosna o to, aby Norwegia nie stała się nieczyją sferą wpływów. Podpis Rosji pod układ z rządem norweskim rozumieć można jako próbę nacisku dyplomatycznego na Finlandię: zakłada on bowiem, że wojska rosyjskie mogą się znaleźć na terytorium norweskim, co ze swej strony, oczywiście, zakłada uprzednie okupowanie przez Rosjan terytoriów fińskich. Zresztą, jeśli Rosjanom udało się przeprowadzić swoje roszczenia do Petsamo, mieliby oni — na niewielkim co prawda odcinku — wspólną granicę z Norwegią. Z drugiej znow strony, dla Anglików podpis rosyjski pod układem, równoznaczny z uznaniem obecnego rządu norweskiego za jedyny rząd legalny, jest swego rodzaju gwarancją, że nie będzie w Norwegii żadnych prób niespodzianek reżimowych.

Bardzo niejasno zato wyglądają polityczne perspektywy francuskie. Wizyta gen. de Gaulle'a po której sobie wiele obiecywano, doprowadziła co prawda do rezultatu, ale negatywnego. Wiemy, że porozumienia w sprawach politycznych nie osiągnięto i że zasadniczą przyczyną rozdziewików są tu sprzeczki Amerykanów. Może zapowiedziana wizyta gen. de Gaulle'a w Waszyngtonie potrafi jakoś różnicę te zakłaskstrować. Dotychczas bowiem Waszyngton stał się siłą w obozie francuskim de Gaulle'owi wrogi i stale przegrywał. Wystarczy przypomnieć nazwiska Darlana i Girauda. Także i ostatnio w ważnej kwestii ustalenia parytetu franka w metropoli do funta i dolara gen. de Gaulle przegrał wprawdzie prestiżowo, bo parytet ten ustalono bez niego, ale merytorycznie odniósł tu wielkie zwycięstwo: pa-

rytet ten bowiem ustalono po kursie bardzo dla Francuzów korzystnym, jeśli się weźmie pod uwagę ogromną inflację, jaką przyniosła ze sobą okupacja niemiecka — bo 200 fr. za funta. Jest to kurs niewiele co niższy od tego, jaki istniał przed wojną. Zapowiedziano co prawda przy tym restrykcje przeciwko ludziom, którzy na wojnie dorobili się majątku, ale wiemy wszyscy, jak trudno restrykcje takie wprowadzić w życie. Ustalenie zatem tak wysokiego parytetu dla franka jest równoznaczne z decyzją Sprzymierzonych wzięcia na siebie w znacznej mierze francuskich kosztów wojny i — okupacji niemieckiej. Gen. de Gaulle może się tutaj ze względów prestiżowych awanturować, że ustalano bez porozumienia z nim kurs waluty francuskiej, trudno jednak przypuścić, żeby nie był z takiego załatwienia sprawy głęboko zadowolony.

Wśród pierwszych komunikatów o rozpoczęciu inwazji była i wiadomość, że data jej została zgrubszą ustalona wspólnie z Rosjanami na konferencji w Teheranie. Jeśli wiadomość ta ma mieć jakiś sens, to może znaczyć tylko jedno: że data ofensywy Sprzymierzonych została zsynchronizowana z datą ofensywy rosyjskiej. Dotychczas jednak ofensywa taka nie przyszła. Zato Rosjanie, korzystając z tego, iż w tej chwili ofensywa niemiecka na froncie wschodnim jest czemś bardzo mało prawdopodobnym, uderzyli z wielką siłą na pozycje fińskie na przesmyku Karelskim i odnieśli już poważne początkowe sukcesy. Rzecz prosta, uderzenia tego nie można w żadnej mierze uważać za zapowiadaną ofensywę. Wojna z Finlandią jest wojną wyłącznie, rosyjską. Sukcesy na froncie fińskim mają dla Rosjan duże znaczenie, jeśli idzie o osłabienie ich celów wojennych, ale na przebieg wojny z Niemcami sukcesy te mogą mieć wpływ tylko niebezpieczny i raczej drugorzędny.

Rosjanie co prawda nawet i wtedy, gdy nie wszczynają działań ofensywnych, wiążą na swoim froncie wielkie masy wojsk niemieckich, ale — rzecz prosta — w wypadku ofensywy wiążaliby je dużo skuteczniej. Ofensywa taka byłaby w tej chwili ogromną pomocą dla wojsk Sprzymierzonych na Zachodzie.

Dowiadujemy się, iż rezerwy bombowców niemieckich oblicza się dziś nisko. Są i tacy, którzy obliczają je zaledwie na 400 maszyn.

Bardzo wymowny jest zresztą fakt, że Niemcy nie zdobyli się z momenten inwazji na żaden poważny nalot na Londyn czy Portsmouth. Znaczy to, że w tej chwili jedynie państwa anglosaskie dysponują naprawdę potężnym strategicznym lotnictwem bombowym. Jest to czynnik, który powinien zaważyć na powojennym układzie sił.

Wiadomość o rozpoczęciu inwazji zaczęła sobą wiadomość o wielkim sukcesie Sprzymierzonych we Włoszech: o zdobyciu Rzymu. Najciekawszy jest tu zresztą nie tyle sam fakt, iż Niemcy Rzym oddali, ale iż oddając go, uszanowali. Że go swoim zwyczajem nie zniszczyli.

Niemcy narzucili tej wojnie swój styl. Styl wojny totalnej, to znaczy takiej, w której działania wojenne obejmują całą ludność cywilną i w której nie obowiązują postanowienia konwencji międzynarodowych, zmierzające do ograniczenia działań wojennych. Działali tak celowo, pewni swej przewagi wojennej, licząc na zastraszenie przeciwnika. Brutalność działania uważali za jeden z elementów zwycięstwa. Jeżeli dziś wbrew swoim tradycjom, oddając Rzym, demonstracyjnie uszanowali wszystkie przepisy prawa międzynarodowego, jest to równoznaczne z przyznaniem się do słabości. Celem prawa jest obrona słabszego. Niemcy, demonstrując w ten sposób swój szacunek dla Konwencji Haskiej, pokazali, iż rozumieją, że dzisiaj nawrót do przestrzegania tych przepisów byłoby dla nich korzystny. Świadczy to, iż masowe naloty lotnictwa Sprzymierzonych na miasta niemieckie osiągnęły swój cel pedagogiczny: poglądowo a dobitnie wyjaśniły Niemcom wartość przestrzegania przepisów międzynarodowych konwencji, o których tak mało pamiętali przy bombardowaniu Warszawy, Rotterdamu, czy Belgradu. Można śmiało powiedzieć, że bombardowanie Berlina ocaliło Rzym. I trudno powiedzieć, aby była to zła wymiana.

Brak nam jeszcze danych, któreby nam w sposób odpowiedzialny pozwoliły ocenić znaczenie wizyty waszyngtońskiej premiera (Mikolajczyka. Omówimy ją w następnym numerze.

WW.

Z TEKI ZYGMUNTA KOWALEWSKIEGO



BRAMA DAMASCENSKA W JEROZOLIMIE

UZUPEŁNIENIE

Zwrócono nam uwagę, że wymieniony w rubryce „Faktów i komentarzy” w numerze 11 (29) „Constant Bosenski”, autor pierwszej, propagującej panturazizm książki p. t. „Les Turcs anciens et modernes” (Konstantynopol, 1869), nazywał się Konstanty Bożęcki, u Turków zaś znany był pod nazwiskiem Dżelaletdin Pasza. Bliższe informacje o nim znaleźć można w książce Adama Lewaka „Dzieje emigracji polskiej w Turcji”.

SZKOLNA BIBLIOTECZKA NA WSCHODZIE

pod redakcją Dra L. Kurdybachy
Dotychczas ukazały się:

Tom

1. ALEKSANDER FREDRO :
Zemsta,
oprac. Eugeniusz Kucharski. Str. 142
2. JAN KOCHANOWSKI :
Treny,
oprac. Wiktor Weintraub. Str. 41
3. JULIAN NIEMCEWICZ :
Powrót posła,
oprac. Stanisław Kot. Str. 112
4. JAN KOCHANOWSKI :
Odprawa posłów greckich,
oprac. Wiktor Weintraub. Str. 43
5. ZOFIA KOSSAK :
Nieznany kraj,
(w wyborze). Str. 221
6. STEFAN ŻEROMSKI :
Wierna rzeka. Str. 130
7. HENRYK SIENKIEWICZ :
W pustyni i w puszczy. Str. 326
8. ELIZA ORZESZKOWA :
Nad Niemenem. Str. 479
9. MARIA RODZIEWICZÓWNA :
Lato leśnych ludzi. Str. 177
10. ADAM MICKIEWICZ :
Księgi Narodu i Pielgrzymstwa
Polskiego,
oprac. Stanisław Pigoń. Str. 82
11. MARIA KONOPNICKA :
O krasnoludkach i sierotce Marysi,
Str. 195
12. MELCHIOR WANKOWICZ :
Bracia dalecy a bliscy,
(wybór z książki „Na tropach Smełki”) Str. 123
13. ADAM MICKIEWICZ :
Pan Tadeusz,
oprac. Manfred Kridl. Str. XVI i 324
14. ALEKSANDER FREDRO :
Śluby panieńskie,
oprac. Eugeniusz Kucharski. Str. 115
15. STANISŁAW WYSPIANSKI :
Wesele. Str. 182
16. WŁADYSŁAW ORKAN :
W roztokach,
wstęp St. Pigoń. Str. 302
17. JULIUSZ SŁOWACKI :
Balladyna,
oprac. Juliusz Kleiner. Str. 248
18. ANTONI MALCZEWSKI :
Maria, powieść ukraińska,
oprac. Józef Ujejski. Str. 87
19. ALOIZY FELIŃSKI :
Barbara Radziwiłłówna,
oprac. Marian Szyjkowski. Str. 97
20. STEFAN ŻEROMSKI :
Popioły, t. I. Str. 384.
21. STEFAN ŻEROMSKI :
Popioły, t. II. Str. 416
22. ZYGMUNT KRASIŃSKI :
Nieboska komedia,
oprac. Juliusz Kleiner. Str. 106.
23. STANISŁAW WYSPIANSKI :
Warszawianka. Pieśń z roku 1831.
Str. 43
24. MARIA KONOPNICKA :
Książka dla Tadzia i Zosi.
25. JULIUSZ SŁOWACKI :
Utwory pomniejsze w wyborze,
oprac. ks. Kamil Kantak. Str. 172
26. ADAM MICKIEWICZ :
Poezje,
oprac. Józef Kallenbach. Str. 192.
27. JULIUSZ SŁOWACKI :
Lilla Weneda,
oprac. Juliusz Kleiner. Str. 184.
28. BOLESŁAW PRUS :
(Aleksander Głowacki):
Faraon, t. I. Str. 352
31. DANIEL DEFOE :
Robinson Crusoe. Str. 103.
34. WŁADYSŁAW ST. REYMONT :
Fermenty. Str. 442
35. JANUSZ KORCZAK :
Król Maciuś Pierwszy,
wstęp Ady Poznańskiej.
37. STANISŁAW WYSPIANSKI :
Noc Listopadowa. Str. 165
Dalsze tomy w przygotowaniu.

Wydawnictwo „W Drodze” poszukuje dla kupna lub wypożyczenia następujących książek:

- SZYMON ASKENAZY :
Książka Józef Poniatowski.
WACŁAW BEREŃT :
Nurt. T. I-II.
WACŁAW BOROWY :
Od Kochanowskiego do Staffa.
Antologia liryki polskiej
JOSEPH CONRAD :
Notes on Life and Letters.
JAN PARANDOWSKI :
Niebo w płomieniach.

Zgłoszenia z cenami należy skierować pod adresem Wydawnictwa „W Drodze”, Jerozolima, Bezael str., House Valero.

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.
Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezael Street, House Valero